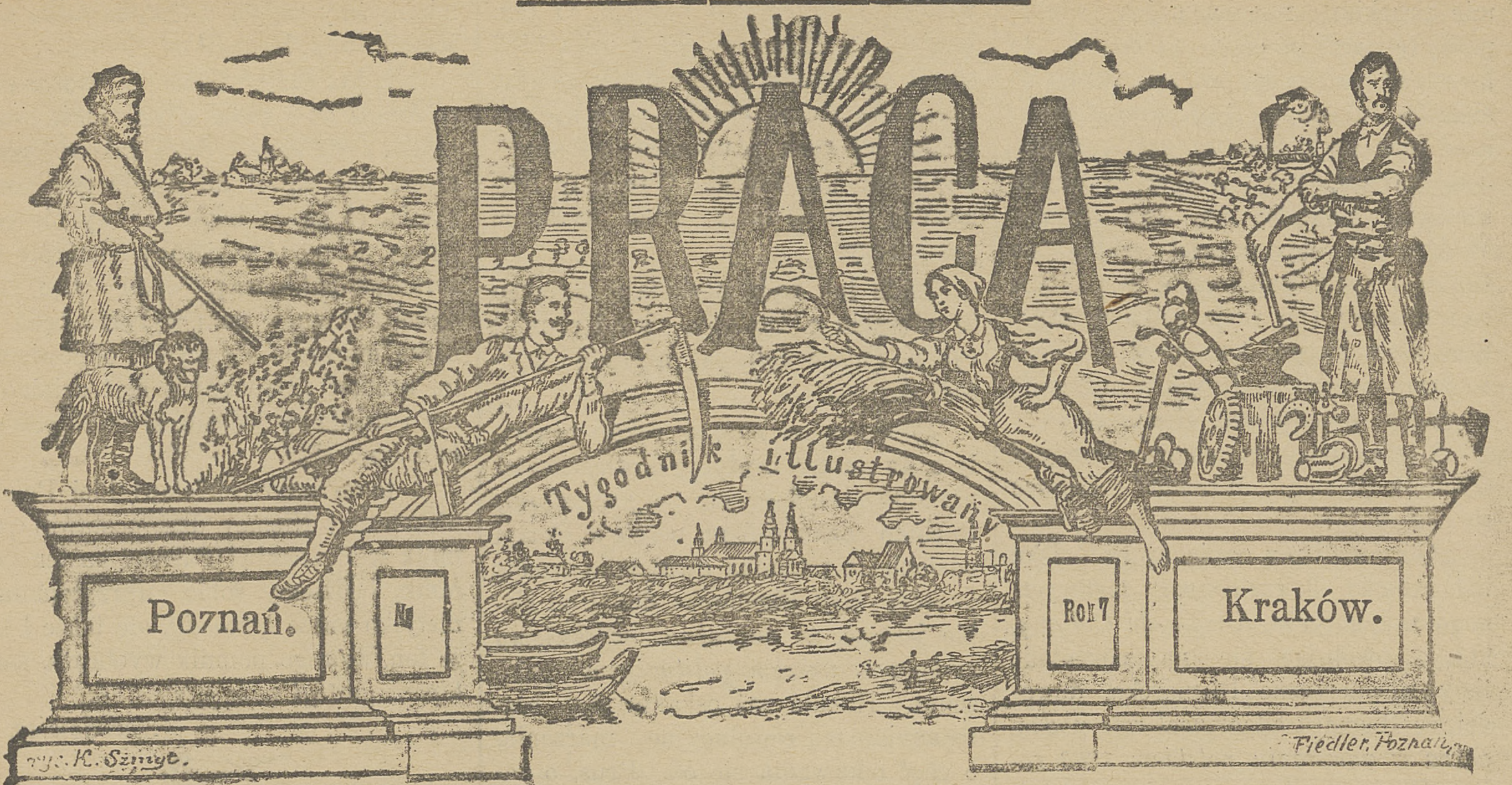
Nr. 44. Poznań, dnia 1-go listopada 1903. Rok VII.



Treść nr. 44-go.

Dział polityczny: Bismark wskrzesicielem Polski. — Wiec w Środzie. Jaździewski contra Głębocki. — Kronika przedwyborcza. — O wyborach do sejmu. — Z tygodnia. — Przegląd prasy. — Głosy od przyjaciół. — Wiec przedwyborczy.

Felieton: Z teatru.

Dział illustrowany: Za zmarłych dusze. (*Wiersz*). — Cześć umarłym. — W zaduszny dzień. (*Wiersz*). — Z tajemnic zagrobowych. — Do nieba. — Kwiaty cmentarne. — Pamięć. (*Wiersz*). — Za matulą. (*Obrazek wiejski.*) — Cicha łza. (*Wiersz*). — W stepie. (*Dokończenie*). — Kronika. — Zaproszenie do przedpłaty. — Wiadomości. — Zmarli. — Ruch w Towarzystwach. — Od Redakcyi. — Nadesłane. — Dział kobiecy. — Dział rolniczo-ekonomiczny. — Dodatek humorystyczny. — Dział powieściowy. (*Śpiewaczka ludowa. Ciąg dalszy. Arkusz 19-ty.*)

Illustracye: Albumowa: Ofiara poświęcenia.— W zaduszny dzień. — Cmentarz. — Procesya w dzień zaduszny. — Anioł stróż z dziecina. — Smutek. — Pogrzeb Henryka Siemiradzkiego w Krakowie: 1) Ś. p. Henryk Siemiradzki. 2) Wejście do grobu Zasłużonych w kościele na Skałce. 3) Krypta grobu Zasłużonych na Skałce. 4) Sadzawka św. Stanisława przy kościele na Skałce. 5) Przeprowadzenie zwłok H. Siemiradzkiego do kościoła na Skałce. — Dwie ryciny do powieści: „Śpiewaczka ludowa“.

Bismarck
wskrzesicielem Polski.

Dziwny to zbieg okoliczności, że właśnie w chwili, gdy w Poznaniu odsłonięto pomnik Bismarcka z zamiarem większego jeszcze pognębienia Polaków, gdy hakata wyprawiała prawdziwą orgię nienawiści, śpiewając krzykliwie na wszystkie tony „requiem“ narodowości polskiej a zwłaszcza *Polski, jako pojęcia państwowo politycznego*, pojawiły się rewelacye, które wykazują ponownie, że to wysławianie Bismarcka jako *pogromcy* i grabarza Polaków nie ma właściwie sensu, gdyż w rzeczywistości on bynajmniej nie uważał Polski za pogrzebaną już na wieki, lecz przeciwnie, sam myślał o jej wskrzeszeniu, sam propagował taką ewentualność a zatem zasługuje raczej chyba na nazwę... „*agitatora wielkopolskiego.*“ Ze był nim nie z miłości do nas, to pewna; motywem jego polityki w tym kierunku był tylko ów sławiony przez hakatę „*zdrowy egoizm niemiecki*“, — zamiar zabezpieczenia potęgi niemieckiej *kosztem Polaków;* ale to bynajmniej postaci rzeczy nie zmienia. Fakt pozostanie faktem, że *uważał on Polskę niezależną zawsze jeszcze za potrzebną w koncercie narodów i państw europejskich, a tem samem za organizm żywotny, mający prawo do życia i bytu.*

Lecz posłuchajmy: W ostatnim numerze paryskiego miesięcznika „*L'Europeen*“ ogłasza były poseł włoski, *Palamenghi Crispi*, bratanek i dawny sekretarz zmarłego prezydenta gabinetu włoskiego *Franciszka Crispiego*, serdecznego przyjaciela Bismarcka, artykuł, w którym opisuje pobyt tego stryja swego w Friedrichruh u Bismarcka w roku 1887 i przytacza obszernie to, co tam mówiono. „W rozmowie z moim stryjem, — pisze pan Palamenghi-Crispi — rozwodził się ks. Bismarck w sposób następujący:

„Pragnę pokoju i stwierdzam, że tylko dwa mocarstwa mogłyby go naruszyć: *Francya i Rosya.* Nie oddaję się jednak troskom. Trójprzymierze jest wentylem pokoju. Uczyniłem wszystko, aby pozyskać przyjaźń Rosyi, ale bezskutecznie. W r. 1878 wziąłem na siebie odpowiedzialność za kongres berliński, ażeby skutki jego carowi dać uczuć w mniejszym stopniu. Co było moją nagrodą? Oto Rosya wysłała na granicę niemiecką 200.000 wojska. Pragnę uczciwie pokoju i nienawidzę wojny, ale *mimo to jestem do niej przygotowany.* — Z milionem żołnierza na wschodzie, z milionem na zachodzie i taką samą liczbą w rezerwie Niemcy nie potrzebują obawiać się napadu. Natomiast Rosya nie jest pewną własnej armii, której oficerowie i szeregowcy zakażeni są rewolucyjnym duchem. *Polska jest słabym jej punktem. Austrya sprzyja Polakom i gdyby się poparło ich powstanie, można by stworzyć autonomiczne państwo polskie pod jednym z austryackich arcyksiążąt*“.

Tak mówił *poufnie, w cztery oczy* do ministra włoskiego ten sam Bis-

marck, który krótko przedtem w sejmie pruskim, rozpoczynając wielką politykę antypolską" twierdził, że kwestya" polska nie istnieje. Rzuca to ciekawe światło na jego *prawdomowność* oraz na *uczciwość* jego *polityki*. Jak zawsze, tak i w tym wypadku uprawiał politykę na dwa fronty. W Prusach wypowiadał walkę na śmierć i życie Polakom, a w polityce *zagranicznej* (na razie tylko w skrytości serca swego) zamierzał *ich użyć za taran przeciwko Rosyi*, a następnie *za rodzaj przedmurza niemieckiego*.

A teraz druga rewelacya: Rosyjski dziennik *„Nowoje Wremia"* ogłasza co następuje:

„Otrzymaliśmy napisany po polsku list członka Towarzystwa historycznego w Londynie, *Karola de Coligny*, który, powołując się na posiadane listy własnoręczne Bismarcka, dowodzi, że Bismark *odegrywał rolę podżegacza w powstaniu polskiem 1863 roku*. Pozostawiając na odpowiedzialność autora rzetelność komunikowanych faktów, z listu jego czerpiemy tylko niektóre, najbardziej zajmujące wiadomości. Jak p. Karol de Coligny donosi, członkowie Towarzystwa historycznego w Londynie nabyli piętnaście własnoręcznych listów zmarłego Bismarka. Wszystkie te listy, dowodzą niewątpliwie, że w *interesie Niemiec leżało podtrzymywać powstanie polskie i podżegać opinię publiczną we Francyi przeciwko Rosyi*. W tym celu Bismark wydał jakoby polecenie domowi bankierskiemu Rotszylda w Paryżu, aby wypłacał pieniądze sprzedajnym publicystom francuskim, którzy drukowali podburzające artykuły w sprawie polskiej, tudzież artykuły przeciwko Rosyi wymierzone".

Druga ta rewelacya nie zawiera właściwie szczegółów *nowych*. O tem bowiem, że Bismarck już z roku 1863 starał się wyzyskać powstanie polskie *przeciwko Rosyi*, chociaż pozornie *pomagał jej* ruch powstańczy zwalczać, wiedziano już dawno. Owe listy Bismarcka *potwierdzają* tylko te znane już rzeczy.

Bądź jak bądź posiadają zarówno te odkrycia p. Coligny, jak i rewelacye p. *Palamenghiego niemałą wartość dla nas*.

Powiedziano nam w roku przeszłym, że „nasze tradycye i właściwości narodowe" należą już do *przeszłości*; to samo zaznaczyli na uczcie z okazyi odsłonięcia pomnika dwaj *ministrowie pruscy*. Syn Bismarcka dodał od siebie jeszcze, że *napróżno oczekujemy zmiany w naszem politycznem położeniu*. Hakata zaś oskarza nas bezustannie o rewolucyjne marzenia, o chęć oderwania się od Prus, o zamiar wskrzeszenia *dawnej Polski*, poczytując nam już takie *marzenia za zbrodnię*. Chórem zaś powtarzają nam wszyscy działacze niemieccy od kanclerza do landrata, że Polska nigdy już nie wskrześnie, co więcej, że właściwie nie ma już wcale Polaków.

Tymczasem dowiadujemy się teraz, że nie kto inny, lecz właśnie to bożyszcze hakaty, stary Bismarck *liczył się zawsze jeszcze z narodem polskim także w polityce międzynarodowej, że sam przypuszczał, iż możemy w niej jeszcze ważną odegrać rolę* — a co najmniejsze, *że sam jeszcze* przed 16 laty *myślał o wskrzeszeniu samodzielnego państwa polskiego*.

Jeźli zaś ten wielki — *największy* zdaniem hakaty polityk europejski zeszłego wieku, tak mniemał, sądził i takie żywił zamiary, z jakiej racyi *my* mielibyśmy *wątpić o tem, że czeka nas jeszcze inny, lepszy los?*

Nie kto inny, tylko *Bismarck oto rozbudza dziś znów w nas takie marzenia i nadzieje*. Jeźli zaś on podniecał nas nawet do zbrojnego powstania, to nawet takie porywy nie powinny uchodzić w oczach Niemców za *zbrodnię polityczną*. Jeźli więc kiedykolwiek znów nam wytykać będą te nasze marzenia i porywy, odpowiemy im krótko: „Uspokójcie się! działaliśmy i działamy jedynie *w myśl polityki Bismarcka*."

I temu wskrzesicielowi idei Polski niezależnej Niemcy dziś postawili pomnik w Poznaniu! Patrząc na ten pomnik, będziemy sobie uprzytomniali nietylko nasze *krzywdy*, ale także i to, że ten, którego pomnik wyobraża, sam *lepszą wróżył nam przyszłość!*

Narodowiec.

Wiec w Środzie

Jażdżewski contra Głębocki.

Wiec w *Środzie* rozwiązany! Wieść ta nie spadła na nas niespodzianie; tam gdzie komitet stanął w jaskrawej sprzeczności z popularnym prądem pomiędzy wyborcami, było się można spodziewać silnego starcia. Jak wiadomo komitet chwycił się wszelkich środków, by usunąć posła Głębockiego. Tymczasem większość wyborców stanęła przy jego boku.

Przebieg wieca był pokrótce następujący.

Gdy sala p. Hüttnera okazała się za mała, udali się wyborcy do nowej strzelnicy, gdzie zebrało się około 700 czy 800 uczestników. Posiedzenie za-

Z TEATRU.

(Przedstawienie „Dziadów." — „Nowy dziennik," komedya w 3-ch aktach Bałuckiego. — „Fałszywe blaski," komedya w 1-ym akcie Zofii Mellerowej.)

> Płomień rozgryzie malowane dzieje,
> Skarby mieczowi rozkradną złodzieje.
> Pieśń ujdzie cało....

To historya nasza — to nasze dzieje. Królewskość naszej przeszłości nie wróci, pochowana w wawelowych podziemiach. Skarby rozniesiono po całym świecie. Jedynie pieśń uszła cało z ogólnego pogromu. Ona jest ową „arką przymierza" między dawnemi i nowszemi czasy. W niej zamknięty nasz ból i nasz płacz serdeczny.

Lecz nad szarym ugorem codziennego życia, lecą dnie, miesiące — mijają długie lata; a los nasz?

Czy to Nowosilcow, czy jakie inne, współczesne, choćby niemieckie nazwisko — czy to młodzież z Wilna, czy innego polskiego miasta. Rzecz zawsze prawie ta sama.

Takie myśli błąkały się po duszy na środowem przedstawieniu.

> Król pieśni ma głos.
> Choć zstąpił wieszcz do truny,
> Nie skona nigdy on!
> Choć pękły harfy struny,
> Nie przebrzmiał harfy ton,
> Lecz zawisł gdzieś w błękicie
> Nad dymem polskich strzech
> I z nieśmiertelnych ech
> My czerpiem moc i życie.

Tak mówi Tetmajer; a każdy kto był na przedstawieniu „Dziadów," odczuwał to samo i rozumiał potężny głos wieszcza co cierpiał za miliony i objął „w ramiona wszystkie przeszłe i przyszłe pokolenia."

To też nastrój uroczysty. — Tu u nas na poznańskim bruku, gdzie każdy dzień nowe łzy wyciska, jak silnie przemawia niewypłakany ból narodu.

Za uroczysty wieczór ten, który niestety nie dość liczną zgromadził publiczność w teatrze naszym, należy się uznanie dyrekcyi.

Wystawienie sztuki tego rodzaju, co „Dziady," wymaga wielkiej staranności i przestawia znaczne trudności. A przecież środowy wieczór trzeba zaliczyć do najpiękniejszych.

Artyści przejęci prawdziwym pietyzmem dla dzieła, dołożyli wszelkich starań, aby wywiązać się jak najlepiej i cel ten osiągnęli w zupełności.

gaił zastępca przewodniczącego ks. Świdziński. Skoro przy ukonstytuowaniu biura ukazał się ks. prał. Jażdżewski powitano go słabem: hurra! Na widok posła Głębockiego, który lubo przez komitet nieproszony stawił się przed swymi wyborcami, rozległy się długotrwałe okrzyki: niech żyje! i z tego już było można wynieść przekonanie, który z tych dwóch posłów zapisał się głębiej w sercu wyborców w Środzie.

Przewodniczący w wstępnem przemówieniu przyznał, że nie we wszystkich gazetach zapowiedziano wiec, a następnie twierdził, że „większości (?) w powiecie kandydatura dotychczasowego posła jest niesympatyczną.“ Na to zerwała się burza. Poseł Głębocki pospieszył nieprzyjaznemu sobie komitetowi z pomocą i prosił, aby wysłuchano spokojnie usprawiedliwienia komitetu, poczem ks. Świdziński tłomaczył, iż był tego zdania, że nie można było już „ze samej delikatności“ zaprosić posła Głębockiego na wiec, „bo byłoby to ubliżeniem dla jego godności.“

P. Deręgowski stawił formalny wniosek o zmianę porządku obrad w ten sposób, aby zamiast nauki o wyborach postawiono na pierwszem miejscu sprawozdanie posła Głębockiego, następnie ustanowiono listę kandydatów, a w końcu naukę o wyborach. Z drugiej strony ks. Poturalski proponował zatrzymać przedłożony przez komitet porządek obrad. Gdy znowu podniosła się wrzawa ks. prał. Jażdżewski poparł wniosek ks. Poturalskiego i starał się wywieść w pole zwolenników posła Głębockiego tłomacząc, iż kto życzy sobie sprawozdania, może upomnieć się o to przy wolnych wnioskach.

Ponieważ przewodniczący ociągał się z poddaniem wniosku p. Deręgowskiego pod głosowanie, p. D. ponowił go, poczem dopiero zarządzono głosowanie przez rozejście się na dwie strony.

Trzy czwarte zebranych przeszło na stronę pana Deręgowskiego. Ponieważ jednak odbywało się to na szczelnie nabitej sali ze zwykłą w takich razach wrzawą, komisarz policyjny zebranie rozwiązał ku oburzeniu wyborców, którzy rozeszli się wołając: „niech żyje poseł Głębocki! Precz z księżmi!“

Rozwiązanie wieca w pierwszym rzędzie przypisać trzeba władzy policyjnej, która z góry nieprzychylna względem polskich wieców, czyha na najmniejszą sposobność, by zebranie rozwiązać.

Zapewne przez to pragnie zniechęcić ludzi do zebrań, odstręczać ich od pracy społecznej i tamować uświadomienie obywatelskie.

Ale nie bez ciężkiej winy jest także komitet średzki. Urządzając wiec w dzień powszedni i na domiar w czasie, gdy przypuszczać było można, że mieszczanie entuzyastycznie usposobieni dla posła G. będą zbyt zajęci, by pójść na zebranie — zdradził swe karty. Nadto ustanowił porządek obrad w myśl nieprzyjaciół posła Gł. i stronnictwa ludowego i przez takie postępowanie przyczynił się do rozgoryczenia umysłów. W dodatku okrył się śmiesznością, tłomacząc się przez usta X. Świdzińskiego, że „przez delikatność“ nie prosił posła G. na zebranie. Delikatnością nazywa się tam niedopuszczenie przedstawiciela wyborców do głosu! Że komitet powodował się nieprzyjaźnią do posła Głębockiego, okazało się niemniej przez to, że przewodniczący nie zarządził zaraz głosowania nad wnioskiem pana Deręgowskiego, lecz ociągał się z tem przeczuwając, że głosowanie nie wypadnie po jego myśli, — czytamy w sprawozdaniu „Dzien. Pozn.“ który dla posła G. zaprawdę nie żywi *wcale* sympatyi. — „Tłomaczenie się zaś ks. prob. Świdzińskiego nie trafiło do przekonania zebranych, bo i tu jest ogólne mniemanie, że dla tego komitet nie postawił na porządku dziennym sprawozdania poselskiego, aby p.Głębocki swą wymową nie porwał zebranych i nie przechylił zwycięstwa na swą stronę. Takie jest bardzo ogólne mniemanie o komitecie. Co prawda, jest to niebywałe, aby posła odsuwać od zdania sprawozdania poselskiego.“

Po za komitetem, główną sprężyną kierującą ugodowcami był ks. dr. Jażdzewski, jak nam wiadomo oddawna. On to z własnego popędu a może także z wyższego polecenia usiłował wykopać grób dla kandydatury posła „ostrego tonu.“ W toku zebrania próbował też ratować porządek obrad proponowany przez komitet. Rola, jaką ks. Jażdzewski odegrał na tem zebraniu nawet tym ludowcom, którzy jeszcze mimo wszystko, co ks. Jażdzewskiemu można zarzucić z demokratyczno - postępowego stanowiska, mieli dlań pewne względy z przyczyn natury *osobisto*-politycznej — wydaje się „niezrozumiałą.“ Wbrew kardynalnym wytycznym zasadom stronnictwa ludowego byli ludowcy, którzy nie sprzeciwiali się kandydaturze ks. Jażdzewskiego a nawet z jakichś względów *taktycznych* oświadczali się za nią. Prędzej czy później ks. Jażdzewski musiał stracić ich względy i pozbawić się przyjaciół, których

---

Rolę Gustawa — Konrada wziął p. Wiślański. Gra jego była od początku do końca nacechowaną wielkiem zrozumieniem. A piękny organ głosu jego znalazł świetne pole popisu.

* * *

Sobotni wieczór wprowadził na scenę naszą komedyą Bałuckiego mało znaną, lecz zato jedną z lepszych.

Zdaje mi się, że sława Bałuckiego przewyższa znacznie rzeczywistą wartość jego utworów. Z drugiej jednak strony trzeba przyznać, że z utworów jego przemawia ów prawdziwy duch obywatelski syna naszej ziemi, co nawet, gdy karci i wyśmiewa, czyni to w sposób tak serdeczny, że mimo wszystko podbija serca.

Bałucki nie jest subtelnym psychologiem, ale jest za to wybornym obserwatorem. A dobra obserwacya starczy nie raz za analizę psychologiczną. Postacie jego mają też bardzo prawdziwy podkład, są żywcem brane z naszego codziennego życia, ale są równocześnie przedstawione w karykaturze. Wobec tego komedye Bałuckiego zbyt zbliżają się do granicy po za którą zaczyna się farsa.

Od tych usterek i błędów nie jest wolną sobotnia premiera, ale posiada w wielkiej mierze także zalety.

Pan Rzepkowski to typowy brat szlachcic. Z krwi i kości nasz. Obrażony na sąsiadów o pominięcie przy wyborach na delegata z fantazyą iście polską zabiera się do zemsty.

Prasa w naszych czasach to wielka siła. Wie o tem p. Rzepkowski. A więc zjeżdża do miasta, aby tu założywszy własny organ, odpowiednio zgromić niedobrych sąsiadów. Ale dyplomacya była zawsze ulubioną pasyjką naszej szlachty. Nie wypada tak od razu odsłonić przyłbicy. Trzeba wyjazd do miasta upozorować. Dla dyplomatycznej głowy p. Rzepkowskiego to drobnostka. — Córki dorastające — rzecz jasna, trzeba je wydać za mąż.

To skombinowanie prawdziwego i symulowanego powodu prowadzi przez całą sztukę do komicznych powikłań, wśród których naczelne miejsce zajmuje osoba literata Rozpędowskiego. Następują świetne sceny ilustrujące dosadnio cały świat literatów-redaktorów. Przed oczyma naszemi przesuwają się świetnie naszkicowane sylwetki. Aż niespodzianie zjawienie się jednego z dawnych sąsiadów z wie-

...ierności lub poparciu zawdzięcza między innemi swój mandat do parlamentu. Dzisiaj, wobec wojowniczego stanowiska, jakie zajął wobec posła Głębockiego, otwierają się oczy tych ludowych przyjaciół ks. Jażdzewskiego; nazywając akcyę jego „niezrozumiałą“, piszą:

„Niepojętą jest rzeczą, jak poseł ks. dr. Jażdzewski mógł dawać poparcie takiemu Komitetowi; jak mógł publicznie w Środzie bronić tego, że nie wypada zmieniać porządku obrad przez Komitet ustanowionego, tj. nie dopuszczać posła Głębockiego do sprawozdania.

Co poseł ks. Jażdzewski robi? Co on dokazuje? Ludowcy w ogromnej większości są niezadowoleni z ostatniego zachowania się posła ks. Jażdzewskiego, ale co do ponownego stawienia jego kandydatury są z powodów taktycznych zdania pomiędzy nimi podzielone. A tu ks. dr. Jażdzewski publicznie stawa po stronie ugodowców — przeciw ludowcom i w Środzie popiera wyraźnie bezprawie, bo jest bezprawiem, gdy się wyborcom odmawia prawa do stanowienia o porządku obrad wieca.

Czy ks. dr. Jażdzewski pragnie, żeby i ci ludowcy, pozostający w mniejszości, którzy się oświadczają za jego kandydaturą z powodów taktycznych, także się przeciw niemu zwrócili?“

Naszem zdaniem ks. Jażdzewski był sobie wiernym i postępował konsekwentnie, natomiast ci ludowcy, którzy z swemi pojęciami chcieli pogodzić popieranie kandydatury posła najwięcej ugodowego z ugodowców — byli niekonsekwentni i właśnie ich postępowanie wydawało się wszystkim, stojącym na grucie demokratycznym lub postępowym, — niezrozumiałem.

Z okazyi wieca w Środzie uwydatnił się głęboki antagonizm pomiędzy posłami Jażdzewskim a Głębockim. Przed wyborami do parlamentu zarzucano posłowi średzkiemu, (jak się okazało bezpodstawnie), że agituje przeciwko posłowi Dziembowskiemu, i wytykano mu rzekomą „niekoleżeńskość“. Obecnie ten sam zarzut dało-by się wytoczyć przeciwko posłowi Jażdzewskiemu, ale pisma konserwatywne mają dwie miary i względem swoich posłów stosują inną aniżeli względem ludowych. Mówiąc nawiasem, przy ocenie posłów ludowych organy te idą tak daleko w swej stronniczości, że w braku innych rzeczy zarzucają posłowi Głębockiemu, iż uznał się godnym, by stać na jednej liście z posłem Szumanem. W „Dzien. Pozn.“ zaś pewien członek komitetu średzkiego twierdzi nawet, że „właściwie poseł G. rozwiązał wiec swojem nieproszonem przybyciem.“ To wkracza już w granice humorystyki przedwyborczej!

Antagonizm, który ujawnił się w walce wyborczej w Środzie pomiędzy tymi posłami, tkwi bardzo głęboko: w zasadniczej różnicy odnośnych temperamentów, charakterów i wypływających z tego pojęć i ideałów politycznych. Kreśląc sylwetki tych dwóch polityków (n. 33 „Pracy“), podnieśliśmy że tor, jakim pójdzie polityka koła, zawisł w gruncie rzeczy od tego, która z tych dwóch indywidualności zwycięży. W łonie Koła polskiego przy każdej ważniejszej okoliczności poseł Głębocki musi kolidować z posłem Jażdzewskim i na to zwracamy uwagę kół demokratyczno-postępowych, by wyciągnęły z tego wskazówkę na przyszłość.

Ordon.

Kronika przedwyborcza.

W Prusach Zachodnich ruch przedwyborczy napotyka na zapory ze strony władz. I tak w *Brodnicy* zapowiedziany wiec nie mógł się odbyć, ponieważ władza nie chciała dać poświadczenia, że listu z uwiadomieniem nie odebrała. Wskutek tego zapowiedziano nowy wiec na pierwszą niedzielę listopada.

W *Chylonii* w pow. puckim wiec został zakazanym, a i w tem policya miała swój udział. Wójt tamtejszy bowiem zakazał otwierać lokal podając za powód, że wiec przypada na czas niedzielnego wypoczynku. „Oto obrazek z życia publicznego Polaków — pisze „Gaz. Gdańska“ — w państwie konstytucyjnem, państwie „ładu i porządku,“ albo raczej — państwie policyjnem.“

W *Starogardzie* wiec został rozwiązany zaraz po ukonstytuowaniu bióra.

W *Toruniu* wiec odbył się bez przeszkód. Zdawał na nim sprawę z czynności poselskich poseł Leon Czarliński, między innemi zwracając uwagę na pruski system wyborczy, niekorzystny dla nas, który tak jak w Bawaryi powinien być zreformowanym. Naukę o wyborach wygłosił poseł Brejski. Na liście kandydatów postawiono: p. Donimirskiego z Łysomic, ks. Odrowskiego z Narwy i p. Marczewskiego z Torunia.

P. Czarliński ostrzegał przed wyborem niepewnych ludzi na t. zw. walmanów, a p. Szwankowski radził energicznie zabrać się do pracy, bo w Toruniu można wybrać 18 walmanów, a dotychczas wybierano co najwyżej — czterech.

Ta sama lista kandydatów prze...

...ścią o oborze p. Rzepkowskiego na marszałka powiatu sprowadza nagle rozwiązanie całej sprawy. Upada powód wydawania dziennika. A rezultatem całego wyjazdu do miasta stają się zaręczyny dwóch córek, które lepiej potrafiły dopiąć swego celu aniżeli ich dyplomatyczny tatko.

„Nowy Dziennik“ grano dobrze.

Na specyalne wyszczególnienie zasługują: pani Łącka, która niezrównaną była jako uroczy podlotek. Jej dąsy, jej minki podbijały wprost widzów. Świetną grą zachwycała również p. Kosmowska w roli cioci Trzepałkowskiej.

Z panów wyróżnili się pan Pawłowski jako literat-krytyk Filuziński i pan Dobrzański w roli Nurkiewicza.

* * *

Wesołą komedyą Bałuckiego poprzedziły „Fałszywe blaski.“

Zofia Mellerowa bierze życie znacznie tragiczniej, jak Bałucki.

Rozwiedzenie się Leonory z pierwszym mężem i pożycie jej z ubóstwianym dawniej poetą-literatem, którego nicość, brak wszelkich podstaw uczciwych i tyle tyle jeszcze wad teraz dopiero poznała — to wystarczający podkład na bardzo smutne życie.

Leonora żałuje po niewczasie zmarnowanego szczęścia, którego nie umiała cenić. Pożegnanie z pierwszym mężem, który dobrowolnie skazuje się na banicyą, aby nie mieć przed oczyma miejsc i ludzi, co byli świadkami jego nieszczęścia, — potęguje jeszcze w Leonorze gorycz. Lecz wszystko już przepadło. W takiem usposobieniu nie może jednak dłużej żyć w domu nowego swego męża, który zburzył jej szczęście a teraz jako ów Ahaswer-mężczyzna zdradza ją z jakąś złotowłosą adeptką sceny.

Z sercem przepełnionem goryczy opuszcza go — idzie w ciemną noc.

Nie wielka ilość ról spoczywała w rękach najlepszych naszych sił. Pani Orwid dodała do swego repertuaru znowu świetną kreacyą. Pan Wiśłański był godnym jej partnerem.

Tak samo p. Byger w roli pierwszego męża jako też p. Fritsche jedyna, ale zato świetna komiczna postać, zasłużyli w zupełności na żywe oklaski publiczności.

Kaźm. R.

szła na wiecach w *Siemoniu* i w *Wąbrzeźnie*.

W *W. Ks. Poznańskiem* odbyło się w zeszłą niedzielę kilka wieców, które ze względu na walkę stronnictw budziły duży interes. I tak zapewne niejeden pytał się, czy i tym razem wiec w *Kościanie* nie zostanie rozbitym. W istocie rzeczy wzięły tam podobny obrót jak na pierwszym wiecu, lecz zanim komisarz policyjny rozwiązał wiec z powodu zbyt krewkiego wystąpienia krzykliwego wyborcy odbyło się głosowanie nad trzema listami kandydatów i przeszła lista ludowa: dr. Skarzyński, Fr. Morawski, ks. pr. Stychel. Dwie inne listy, na których figurował p. dr. Dziembowski, nie uzyskały większości dlatego zapewne, że pominięto na niej p. Fr. Morawskiego popieranego przez dwóch wpływowych obywateli z okolicy oraz szeregowców ludowych .

Wiece we *Lwówku* i *Opalenicy* odbyły się spokojnie. Na pierwszym przeszła lista kandydatów: dr. *Dziembowski*, dr. Niegolewski i ks. Jażdżewski, w Opalenicy zaś: dr. *Niegolewski*, Fr. Morawski i dr. Skarzyński. W tym okręgu zatem najlepsze widoki otrzymania mandatów mają pp. dr. Skarzyński i Fr. Morawski, a gdyby jeden z nich miał wyrzec się posłowania, drugi mandat przypadłby w udziele p. dr. Niegolewskiemu.

W okręgu poznańskim-wiejskim i obornickim odbyły się dwa zebrania przedwyborcze. W *Stęszewie* postawiono na kandydatów pp. dr. T. Szułdrzyńskiego z Bolechowa, ks. dziekana Mędlewskiego z Parkowa oraz p. Z. Lewandowskiego z Poznania. W *Obornikach* przeszła lista: dr. Szułdrzyński, ks. Mędlewski, mec. Chrzanowski. Jakoż dwaj pierwsi mają widoki otrzymania mandatów. Notabene ks. dziekan Mędlewski zgodził się kandydować, jeżli władza duchowna pozwoli i ewentualnie postara się o zastępcę w parafii parkowskiej.

W *Sierakowie* odbyło się zebranie na powiat międzychodzki gdzie przeszła lista kandydatów: Maciej hr. Mielżyński, dr. Dziembowski, mec. Chrzanowski.

W *Strzelnie* przedłożono zebraniu dwie listy kandydatów, jednę od delegatów z powiatów inowrocławskiego i szubińskiego, drugą z ramienia komitetu strzelińskiego. Pierwsza brzmiała: dr. J. Grabski z Skotnik, dr. Brodnicki z Kołudy i dr. Krzymiński z Inowrocławia, lecz uzyskała tylko kilka głosów. Przyjęto listę komitetu: J. Grabski, dr. T. Trzciński i dr. Cieślewicz. Wyborcy w Strzelnie dobrze zrobili obstając przy swej liście, bo niepodobno wymagać od dobrze myślących obywateli, aby stawiali na kandydata poselskiego — p. dra Brodnickiego. Wprawdzie okręg ten nie wysełał do sejmu Polaka, lecz nie mniej wyborcy stawiając kogoś na liście, chociażby jako figuranta, obdarzają go pewnym zaszczytem. Zaszczyty zaś poprzedzić musi jakakolwiek zasługa. Tymczasem jedyną zasługą pana Brodnickiego jest dotychczas, że *nie* urządzał wieców, *nie* drażnił Niemców i zdemaskował się jako nieprzyjaciel oświaty ludu. To może uchodzić za zasługę tylko w oczach arcyugodowców i najwsteczniejszej szlachty, która lęka się *oświeconego* chłopa dlatego, że sama nie posiada dosyć oświaty i pragnie rządzić ciemnym tłumem. Że pan Brodnicki wsunął się na listę kandydatów przypisujemy ogromnemu zacofaniu i zupełnej ślepocie społecznej pomiędzy delegatami inowrocławsko-szubińskimi. Zresztą jakim prawem delegaci z Szubina i Inowrocławia ośmielają się przedkładać swoją listę w *Strzelnie?* Jeżli takie dzikie obyczaje poczną się wkradać, to któż zabroni, abyśmy n. p. z Poznania proponowali na wszystkich wiecach kandydatury i to tyle ile nam się spodoba. Powtóre jakiem prawem przewodniczący uwzględnił tę listę i jakiem prawem poddał ją pod głosowanie przed listą komitetu strzelińskiego? Każdy wyczuje w tem *zakulisowe machinacye konserwatywno-ugodowych żywiołów*, które jednak wyborcy strzelińscy obrócili w niwecz. Niechaj Strzelno zapamięta to sobie, ma się na baczności na przyszłość przed ugodowcami i nie dopuszcza jakichś kujawskich obyczajów.

Na wiecu w *Koronowie* na powiat bydgoski wiejski stawiano na kandydatów pp. Leona Czarlińskiego, B. Chrzanowskiego i ks. prob. Tedera z Koronowa.

W *Żninie* przeszła lista kandydatów: R. Połczyński, K. Sczaniecki i dr. Dziembowski.

Wiec wyborczy w *Kępnie* nie odbył się bez starcia dwóch stronnictw. Przeciw liście komitetu, która brzmiała: dr. Mizerski, dr. Dziembowski, dr. F. Niegolewski, a mianowicie przeciwko kandydaturze dra Dziembowskiego wystąpił rzemieślnik miejscowy p. Kłobus proponując na jego miejsce Macieja hr. Mielżyńskiego. Mimo świetnej wymowy dr. Dziembowskiego, który przemawiał w gorącym tonie, większość głosowała za posłem hrabią Mielżyńskim.

Taki sam obrót wzięły rzeczy w *Odolanowie*. Komitet tamtejszy zaproponował listę ostrowską: dr. Mizerski, dr. Dziembowski, ks. Śmigielski, za kandydaturą dr. Dziembowskiego przemawiał książę Ferdynand Radziwiłł, lecz kandydatura ta i lista przepadły. Przemawiał przeciw nim p. Fibak ze Skalmierzyc i znaczną większością stawiono na pierwszem miejscu hrabiego M. Mielżyńskiego, a obok niego dr. Mizerskiego i dr. Niegolewskiego.

W *Wągrowcu* przeszła lista kandydatów: Władysław Brodnicki dr. Dziembowski, M. hr. Mielżyński.

W *Wyrzysku* postawiono na kandydatów dr. Dziembowskiego ks. dziekana Tesmera i włościanina J. Kopeckiego z Polanina.

Ze *Środy* dochodzi wiadomość, że komitet tamtejszy, który zgotował Środzie tak wspaniały wiec w zeszły piątek z rana złożył swe funkcye w ręce komitetu centralnego. Po tem co zaszło, nie wielu uroni łzę żalu za nim. W chwili, gdy oddajemy „kronikę“ pod prasę, nie wiadomo jeszcze kto obejmie po nim ster. W każdym razie ufamy, że ludowcy nie pozwolą sobie wydrzeć posła Głębockiego.

Podnieśli oni głos za nim na wiecu we *Wrześni* wbrew oczekiwaniu wielu ludowców, którzy sądzili, iż tam nikt nie odważy się pisnąć nawet za dzielnym posłem, zwalczanym przez duchowieństwo i grono obywateli. Nie jest nawet rzeczą pewną, czy zwolennicy posła Głębockiego nie byli w większości. Chociaż nie udało im się przeprowadzić jego kandydatury, zasłużyli sobie na uznanie.

Zebraniu wrzesińskiemu przewodniczył p. Józef Kościelski. Po zdaniu sprawy z czynności poselskich przez ks. prał. Stychla, gdy przewodniczący zaproponował na kandydatów ks. prał. Stychla, a na drugiem miejscu dra Dziembowskiego podniósł się „prawie ogólny“ okrzyk: niech żyje poseł Głębocki! Tu p. przewodniczący polecił przeczytać wniosek 30 obywateli skierowany przeciw posłowi Głębockiemu. Na to p. Jakubowski energicznie prosi komitet, aby stawił posła G. na drugiem miejscu, gdyż taka wola większości. Mimo to odbywa się głosowanie nad wnioskiem, aby nie wybierać do sejmu posłów do parlamentu t. j. pominąć posła G. Głosowanie odbywa się przez podniesienie rąk, a nie przez rozejście się. Wśród zgiełku, ławnicy konstatują, że większość jest za wnioskiem. Tymczasem można przypuszczać śmiało, że większość nie słyszała wcale brzmienia wniosku.

Następnie p. Hulewicz proponuje głosowanie za każdym kandydatem z osobna ks. prał. Stychel przechodzi jednozgodnie. Przy głosowaniu nad dr. Dziembowskim powstaje [illegible] hałas. Według sprawozdania „[illegible]

rąk podniesiono dużo, jedni są za Głębockim, drudzy za Dziembowskim. P. przewodniczący sam stwierdza większość za p. Dziembowskim, na co podnosi się krzyk. Komitet okazuje się głuchym na prośby, by po raz wtóry głosowanie urządzić. Wreszcie wskutek nieprzerwanej burzy p. Kościelski wiec rozwiązuje a żandarm zatwierdza to. Pomiędzy wyborcami odzywają się głosy, że p. K. wywarł osobistą zemstę na panu Głębockim.

Wiec ten będzie miał z pewnością epilog w prasie.

Ciekawy acz spokojny i wzorowy przebieg miał wiec w *Jarocinie*. Przybył na wiec ks. prał. Jażdzewski i przemawiał — jak zwykle występując przeciwko pewnym polskim organom i twierdząc, że należy nadal trzymać się fałdy centrum. W końcu według referatu „Orędownika,“ (który zda się tryumfować z przeprowadzenia w Jarocinie tego „ludowego“ kandydata,) ks. prał. Jażdzewski oświadczył, że „gdyby nie ciężar obowiązku, dawno by już zrezygnował z mandatu poselskiego,“ z czego wynika, że poseł Jażdzewski ogromnie lubi ciężary obowiązków albo że — referent Orędownikowy palnął głupstwo.

Zebranie przyjęło arcydziwaczną listę, którą ośmieszyło Jarocin: dr. A. Chłapowski —ks. prał. Jażdzewski i— p. Józef Głębocki. Wobec tej listy — dificile est satiram non scribere!

Ze strony ludowców zabrał przedtem głos p. *Jachowski*, i wygłosił mowę w stylu i guście „Orędownka“ tak jakby mu każde słowo telefonował p. dr. Szymański. Podziękowawszy ks. prał. za przybycie oraz za przemówienie, wynurzył żale ludowców do posła J. i zaznaczył, że „na kandydaturę jego *zgodzą się ludowcy pod warunkiem, że ks. prałat w zasadzie zgodzi się na program partyi ludowej.*

P. Jachowski przemawiał nie tylko w swojem imieniu, lecz „ludowców“ a więc musiał się był z nimi porozumieć. Z pewnością jest to dla wielu ludowców niespodzianką, p. Jachowski zatem jest im obecnie dłużny dać wyjaśnienie z kim pertraktował, w imieniu jakich przemawiał ludowców. W przeciwnym razie wystawi się w oczach całego stronnictwa na ciężki zarzut, iż działając pokątnie z kilku ludowcami, uzurpował sobie prawo przemawiania za ogół partyi. Takiego ultimatum w imieniu stronnictwa nie wolno stawiać nikomu bez wyraźnego upoważnienia. Interpelujemy go przeto w tej materyi: Od kogo to miał p. Jachowski upoważnienie do warunkowego godzenia się na kandydaturę ks. Jażdżewskiego.

Zachowanie się ludowców jarocińskich wobec tej kandydatury jest tem dziwniejszem, że odpowiedź ks. Jażdzewskiego nie mogła zadowolić ich wcale. Przecież nie mogło ich ująć zaręczenie, że jeżli zasadniczy program ludowców brzmi: uświadomienie ludu pod względem politycznym, podniesienie moralne i materyalne ludu — w takim razie ks. prałat jest członkiem partyi ludowej. Zrobiwszy to wyznanie, które mógł zrobić każdy nasz polityk, ks. prałat dodał szczerze, że jednakże różni się co do metody, praktykowanej przez ruch ludowy, innemi słowy, że nie jest ludowcem.

Mimo to ludowcy jarocińscy przyklasnęli jego kandydaturze jakby z góry było to rzeczą ukartowaną.

Wracając do przebiegu tego zebrania, pozostaje nam zaznaczyć, że po replice ks. Jażdzewskiego zainterpelował go jeszcze p. Grabski i podniósł różne przeciw niemu zarzuty, z których poseł J. „nie zdołał się zupełnie gładko oczyścić“.

Ostatecznie ks. prał. Jażdżewski nie zgodził się na program ludowców, ale jarocińscy ludowcy albo raczej tylko orędownikowcy zgodzili się na ks. Jażdżewskiego..... *Q.*

O wyborach do sejmu.

Nauka wygłoszona w Gnieźnie przez mec. A. Karpińskiego.

Na *12-go listopada*, przypada ważny dla nas dzień: wybory do sejmu pruskiego. Sejm pruski składa się z 433 posłów, naszych jest tylko 13. Sejm pruski nakłada na nas najuciążliwsze prawa: prawo o języku urzędowym, na mocy którego wyparto nasz piękny język polski z szkoły i urzędu; prawo o kolonizacyi, na mocy którego z podatków, płaconych także przez nas Polaków, zakupuje rząd ziemię, a Polaków od nabywania tej ziemi wyklucza; prawo o dodatkach dla urzędników uciskanych rzekomo przez ludność polską; prawo o oddaniu miliona marek rocznie do dyspozycyi naczelnego prezesa Ks. Poznańskiego na popieranie niby to uciśnionych rzemieślników i kupców niemieckich; wszystko to jest dziełem sejmu pruskiego. Musimy się więc starać, abyśmy w listopadzie posłali do Berlina jak najwięcej rodaków naszych, którzy w sejmie z okazyi wolności słowa traktowanie nas Polaków przez rząd nazwą po właściwem imieniu i przed Europą napiętnują krzywdy, wyrządzane narodowi polskiemu. Jeżeli nie zdołamy wybrać z naszego okręgu Polaka na posła, to pojedzie do Berlina jaki niemiecki urzędnik i ten będzie w sejmie opowiadał, jak to Polacy uciskają niemczyznę i jeszcze będzie mu mało wszystkiego, co się na nas wali; a za to dostanie jeszcze order, albo posunięty będzie na lepiej płatny urząd.

Kto wybiera?

Każdy ma prawo głosowania, kto ma *lat 24*, czyli kto się rodził w roku 1879 i to przed 12 listopada 1879 r. ten *musi* być wpisany w listę wyborców, bo decyduje dzień wyborów, a nie dzień wyłożenia listy wyborców.

Głosuje *każdy;* głosuje syn, będący w domu rodzicielskim i utrzymywany przez rodziców, lub pobierający od nich zamiast zasług wikt; głosuje każdy *choć nie płaci ani grosza podatku;* jednem słowem *dziadek*, siedzący pod kościołem i żyjący z jałmużny, ma prawo głosowania. Dobitniej już wyrazić się nie mogę, jak powiadając: każdy żebrak ma prawo głosować — *jeżeli tylko nie pobiera wsparcia od gminy. Rentę inwalidztwa wolno mu pobierać;* tylko wsparcia odbierane z policyi i od magistratów, sołtysów itd., te odbierają prawo wyborów.

Prawa wyborów *nie mają* także ci, którym wyrokiem sądowym *prawa honorowe* za ciężkie kradzieże z włamaniem się itp. odebrano. Dla tego radzę gorąco każdemu iść na wybory, bo jak nie pójdzie, to ludzie mogą powiedzieć o nim: *aha, pewnie co przeskrobał, pewnie siedział w kozie i nie ma prawa głosowania.*

Żeby módz głosować, *trzeba 6 miesięcy w gminie mieszkać.* Przypuściwszy, że jaki nasz rodak w lipcu br. sprowadził się z Zdziechowy do Gniezna, to głosuje nie w Gnieźnie, bo tu jeszcze nie mieszka 6 miesięcy, tylko w Zdziechowie i tam powinien być zapisanym w liście wyborczej i tam 12 listopada pójść na wybory. Robotnik, który wyszedł na latową robotę do Niemiec, a teraz na zimę wraca, głosuje tutaj w kraju w swojej wsi, gdzie zostawił rodzinę, bo jego pobyt w Niemczech był tylko przejściowy.

Jak się wybiera?

To jest materya najtrudniejsza. Dla lepszego zrozumienia rzeczy zastanówmy się, co powinien zrobić Polak, dbając o to, aby z swego prawa wyborczego nic nie uronić.

Przedewszystkiem odszukać w domu kartę podatkową i obliczyć ile płaci podatku, bo inaczej nie może się przekonać, czy go umieścili w tej klasie, do której należy, bo są *trzy klasy*

w pierwszej głosują ci, co płacą największy podatek; w drugiej ci, co płacą średni podatek; a w trzeciej, co płacą bardzo mało, albo wcale żadnego. Zlicza się do wyborów do sejmu dochodowe, gruntowne, procederowe i gminne; a szkólnego, ogniowego, zawodowego, składki do kasy chorych, nie uwzględnia się.

Nasza siła leży w III klasie; lecz często możemy i w I i w II klasie przeprowadzić Polaka walmana, jeżeli właśnie w tym obwodzie będziemy mieli rodaków, wysoko podatkowanych i w tej klasie wpisanych, do której należą podług prawa. Kto nie zapisany, albo źle zapisany, musi się upomnieć na wsi u landrata, w miastach u burmistrza.

Zachowanie się podczas wyborów.

Godzina wyborów może być w każdym obwodzie wyborczym rozmaita. Prawo tylko ogólnie powiada, że wyborców zwołuje się w najdogodniejszym czasie. Trzeba się więc punktualnie stawić w lokalu wyborczym o godzinie wyznaczonej przez władze państwowe. Trzecia klasa głosuje pierwsza. Głosowanie jest bardzo żmudne. Głosuje się nie tak jak do parlamentu, gdzie to oddaje się tylko kartkę w czasie dla każdego wyborcy najdogodniejszym. Teraz w listopadzie do sejmu będziemy inaczej głosowali. Przewodniczący wyborów wywołuje każdego wyborcę i wyborca przystępuje do stołu i ustnie wymienia nazwisko jednego lub dwóch walmanów. Nazwiska wyborców spisane są podług wysokości płaconych podatków, tak że najwięcej opodatkowany głosuje pierwszy i tak dalej coraz niżej. Tylko przewodniczący wyborów mający listę przed sobą zna kolej, w jakiej wyborcy wywołani zostaną, ale wyborca sam najczęściej nie wie kiedy nazwisko jego wywołają.

Skoro wyborcy trzeciej klasy oddadzą swe głosy, musi przewodniczący wyborów pozwolić głosować jeszcze tym, którzy się spóźnili lub nazwiska swego nie dosłyszeli.

Oddawszy głosy, nie powinni wyborcy się zaraz oddalać, bo często przychodzi do ściślejszych wyborów to jest do powtórnego głosowania. Trzeba tak długo czekać, póki przewodniczący nie wygłosi nazwisk walmanów i nie zamknie głosowania odnośnej klasy.

W ten sam sposób co trzecia klasa głosuje potem druga, a w końcu pierwsza klasa.

Wybory te są bardzo bałamutne i niesprawiedliwe. Po pierwsze są pośrednie tj., że 12-go listopada wybierać będziemy nie wprost posła, ale tylko walmanów, a ci dopiero *20-go listopada* wybiorą posła. Więc chodzi o to, abyśmy 12-go listopada wybrali jak najwięcej polskich walmanów.

Dalej te wybory są niesprawiedliwe, bo dają wielkie prawa bogatym, a za nadto szczupłe prawa uboższym obywatelom. Czasem w I klasie wybiera jeden obywatel dwóch walmanów, a w trzeciej klasie kilkuset obywateli wybiera także tylko dwóch walmanów.

Dalej sposób wybierania jest niemoralny, bo jawny. Każdy musi ustnie wymienić tego walmana ,na którego głosuje. Jądro rzeczy leży w tej jawności wyborów i tego systemu wyborów nie zna żadne cywilizowane państwo. Wybory wszędzie są tajne tj. karteczkami. Nie mówię już o Francyi, Belgii, Szwajcaryi, Anglii, gdzie to samo się przez się rozumie, ale nawet w barbarzyńskiej Rosyi odbywają się wybory do rad miejskich tajnie, tj. karteczkami. W Rosyi sejmu nie ma, ale są rady gubernialne i miejskie z wyjątkiem Królestwa Polskiego. Otóż więc Moskal pojmuje to, że jawne wybory nie są właściwie wyborami, ale przymusem i tam, gdzie wogóle do wyborów dopuszcza, tam daje obywatelom prawo tajnego głosowania, tj. głosowania karteczkami.

Prusy zatem są jedynem państwem w Europie, gdzie niejako władza — przez ramię zagląda wyborcy, na kogo głos swój oddaje. Lecz trudno, trzeba się do tego nędznego prawa wyborczego zastósować, ale starać się zachować godność swoją i głosować na naszych rodaków, nie dbając o niczyje względy.

Dużo naszych służy pod niemieckimi panami; wskutek tego niemczyzna czasem mimo jego woli tak się do niego przylepi, że mu trudno się od niej oderwać. Ale w dniu wyborów, każdy winien to swemu honorowi, żeby od tej niemczyzny się odczepił i głosował tak, jak mu sumienie i godność nakazuje, choćby jego chlebodawca niemiecki miał krzywem okiem na niego zerknąć. A jeżeli jaki Niemiec miałby robotnikowi polskiemu przed wyborami coś wspomnieć o tem — jak to Niemcy lubią — że je niemiecki chleb, to odpowiedzcie mu na to, że ów Niemiec pracodawca je polski chleb, bo wy na niego czasem za nędzne wynagrodzenie pracujecie.

Zresztą broni nas kodeks karny przed napaściami i groźbami niemieckich pracodawców. Paragraf 107 prawa karnego karze *tego więzieniem, kto gwałtem lub groźbą przeszkadza w wykonaniu praw obywatelskich, głosować lub wybierać.*

Z TYGODNIA.

Rosya i Austrya zdobyły się nareszcie w sprawie macedońskiej na krok stanowczy. Wiadomo, że już na konferencyi obustronnych ministrów spraw zagranicznych, hr. *Gołuchowskiego* i hr. *Lambsdorffa*, odbytej podczas wizyty carskiej w Mürzsteg, postanowiono pogrozić Turcyi *kontrolą* austro-węgierską nad akcyą reformową, zaleconą jej przez oba mocarstwa. Groźba ta, ujęta w formę ogólnikowej noty, nie sprawiła żadnego wrażenia ani w Turcyi ani w Europie. Zapowiedziano w niej wprawdzie, że wkrótce już oba rządy wyłuszczą szczegółowo, na czem ma polegać ta kontrola, ale i ta zapowiedź nie zadowoliła opinii publicznej. Tym razem jednakże pesymizm opinii nie okazał się słusznym. Doręczona teraz dnia 22 z. m. Wielkiej Porcie druga nota obu mocarstw, zawiera bowiem żądania, które w *danym razie* mogłyby wywrzeć wpływ zbawienny na położenie ludności chrześciańskiej w Turcyi i oddziałać uspokajająco na stosunki w objętych powstaniem wilajetach. Piszemy wyraźnie: „w danym razie" — bo będzie to zależeć od kilku okoliczności, nasamprzód od tego, czy zadowolą się żądanemi w nocie nowemi reformami przywódcy i kierownicy powstania,a dalej od tego, czy powiedzie się mocarstwom *zmusić Turcyę* do przeprowadzenia tych reform i poddania się kontroli mocarstw w tym kierunku?

To, czego teraz domagają się rządy Austro-Węgier i Rosyi równa się poniekąd — nadaniu Macedonii pewnego rodzaju *autonomii*. Wychodząc z tego zupełnie słusznego punktu widzenia, że przyczyną wzburzenia ludności słowiańskiej a tem samem powstania, jest barbarzyńskie postępowanie władz tureckich, zamierzają rzeczone mocarstwa przedewszystkiem wyrwać z rąk tureckich *żandarmeryę*. Żądają więc, aby oddano ją pod dowództwo generała jednego z mocarstw, dalej, ażeby także w poszczególnych okręgach dowodzili nią oficerowie europejscy, a w danym razie, aby dano jej nawet europejskich podoficerów. Generalnemu inspektorowi tureckiemu *Hilmi* baszy mają być dodani do boku agenci cywilni austryaccy i rosyjscy, którzyby kontrolowali wszelkie jego kroki; po kraju zaś jeździć mają inni podwładni im agenci, którzy odbierać będą od ludności prośby i skargi i patrzeć na palce lokalnym władzom tureckim. Gdy zaś kraj pod tą kontrolą mocarstw nieco się uspokoi, ma Turcya *inaczej rozgraniczyć obecne okręgi administra-*

cyjne — wilajety — tak, ażeby każdy z nich obejmował tylko ludność *jednej* narodowości. W celu umożliwienia powrotu zbiegom Macedońskim do rodzinnych wiosek, ma Turcya wyznaczyć osobne fundusze na odbudowanie spalonych przez wojska tureckie kościołów, szkół, i domów, dalej zwolnić poszkodowaną ludność na rok od podatków. *Do sądownictwa i władz administracyjnych* należy dopuścić także *chrześcian,* dalej mają być utworzone osobne komisye, złożone do połowy z Turków, do połowy zaś z chrześcian, których zadaniem będzie zbadanie szkód, jakie poniosła ludność i rozdzielanie zapomóg. Nad czynnościami tych komisyi czuwać mają konsulowie austryaccy i rosyjscy. Wreszcie żądają mocarstwa szybkiego przeprowadzenia dawniej zaleconych Turcyi reform oraz zupełnego usunięcia z wojska tak zw. „baszybożuków“ — żołnierzy nieregularnych, którzy największych dopuszczają się zawsze okrucieństw.

Tym postulatom mocarstw rzeczywiście tylko przyklasnąć można. Kwestyi bałkańskiej wprawdzie usunąć one nie zdołają; ta zniknie z widowni dopiero, gdy cały półwysep podzielony zostanie także politycznie na państwa etnograficzne, gdy miejsce zbutwiałej Turcyi zajmie tam *wielka Serbia, wielka Bułgarya* i samodzielna *Albania;* gdy atoli na taki podział Turcyi mocarstwa na razie jeszcze się nie zgodzą, zadowolić się trzeba środkami, które przynajmniej los słowiańskich poddanych Turcyi uczynią znośnym. Wszystko zależy teraz od tego, czy Rosya i Austrya zdobędą się na energią zmuszenia Turcyi do poddania się ich woli? Jak było do przewidzenia, rząd turecki nie okazuje się zbyt pohopnym do tego. Oświadczył on podobno w Wiedniu i w Petersburgu, że zwłaszcza trzech pierwszych żądań spełnić nie może. Ostatecznie jednakże długo woli mocarstw nie będzie się mógł opierać. Byłoby to możliwem tylko w razie, gdyby zdołał *poróżnić* mocarstwa między sobą. Ale ku temu nie ma na razie żadnych widoków. Anglia, Francya i Włochy popierają akcyę rosyjsko-austryacką, Niemcy zaś, które jedyne dziś w Europie sympatyzują z Turcyą, same nie zechcą się odważyć na protest, sprzeciwiający się opinii całej Europy. Tak więc bądź jak bądź, gnębionej ludności chrześciańskiej w Turcyi lepsza uśmiecha się przyszłość, a *Rosya* i *Austrya* zrehabilitowały się nareszcie w oczach opinii.

Wogóle w dziedzinie wielkiej polityki żywszy znów ruch zapanował. Rosyjski minister spraw zagranicznych hr. *Lambsdorff* udo się wkrótce do Paryża na konferencyę z francuskim swym kolegą panem Delcasse. W przymierzu rosyjsko-francuzkiem w ostatnim czasie coś się psuć zaczęło. Francya zbliżyła się do *Włoch* i *Anglii*, a to nieznalazło uznania w Petersburgu. Zwłaszcza nowa przyjaźń francuzko-angielska zaniepokoiła Rosyę. Hr. Lambsdorff zażąda więc wyjaśnień, a podobno na dowód, że Francya zawsze jeszcze jest szczerym przyjacielem Rosyi, także.... nowej pożyczki wysokości 500 milionów na wykończenie kolei syberyjskich i wschodnio azyatyckich.

Na wszystkie te zjazdy, układy i wizyty jeden naród w Europie szczególnie niechętnem spoziera okiem, a narodem tym są *Niemcy*. Wszystko bowiem układa się tak jakoby o zdanie rządu niemieckiego nikt już w polityce międzynarodowej nie pytał. Rosya na własną rękę układa się z Austryą co do spraw bałkańskich: Francya z Anglią i Włochami porozumiewa się co do kwestyi spornych na *morzu Śródziemnem,* Włochy mimo swej przynależności do trójprzymierza szczególnie czule kokietują z Francyą; tylko Niemcy stoją na uboczu. Już nawet kilka pism niemieckich żali się na to odosobnienie Niemiec w wielkiej polityce. Tem większą radość wywoła zapewne w Niemczech wieść, że *car Mikołaj,* wracając z Darmsztatu, zjedzie się z cesarzem *Wilhelmem w Wiesbadenie.*

Zatarg między *Austryą* a *Węgrami* znów się zaostrzył. Teraz do opozycyi przeciwko stanowisku, jakie w sprawie wojskowej zajmuje cesarz Franciszek Józef, a które określił jasno w swym rozkazie do armii wydanym we wsi galicyjskiej *Chłopy,* przyłączyło się także rządowe stronnictwo parlamentu węgierskiego. Co więcej, stronnictwo to w wypracowanym przez osobną komisyę nowym programie wojskowym zakwestyonowało wogóle zwierzchnicze prawa cesarza nad armią i zażądało, ażeby także węgierski parlament miał głos równoległy w wewnętrznych sprawach armii. Zatarg zamienił się więc na zatarg prawno-państwowy narodu z koroną. Cesarz powierzył obecnie utworzenie nowego gabinetu jednemu z najwierniejszych dla dynastyi habsburgskiej magnatowi węgierskiemu hr. Stefanowi *Tisza.* Zdaje się jednakże że i on nie zdoła przywrócić pokoju bez pewnych ustępstw ze strony korony.

W *Niemczech* dwie głównie sprawy zajmowały prasę: zjazd ministrów finansów poszczególnych państw Rzeszy i oświadczenie bawarskiego prezydenta gabinetu bar. Podewilsa, dane w sejmie bawarskim. Pierwsi radzili nad tem, jak wypełnić groźny niedobór w budżecie Rzeszy, drugi określił wyraźnie stosunek Bawaryi do Prus i Rzeszy. Zaznaczył on wprawdzie, że Bawarya nadal pragnie jaknajściślejszej łączności między państwami Rzeszy i chętnie ponosić będzie ofiary dla jej potęgi, ale równocześnie dał do poznania, że na dalsze rozszerzenie przewagi Prus w Rzeszy bynajmniej się nie zgodzi. Rzesza niemiecka ma być i nadal związkiem państw pod *przewodnictwem* Prus, ale *nie pod władzą Prus.*

Agitacya wyborcza zaczyna się w Niemczech ożywiać. Do walki wystąpili teraz także *socyalni demokraci,* jak powiadają w swej odezwie, „na próbę,“ ażeby się przekonać, o ile przy obecnym systemie wyborczym mogą liczyć na powodzenie. Ciekawa też rzecz, czy zdołają gdziekolwiek przeprowadzić własnych kandydatów?

O. M.

Przegląd prasy.

Centrowcy na Śląsku nie śpią. Jak przed wyborami do parlamentu tak obecnie starają się podciąć ruch narodowo-polski, utrzymać księży w pętach centrowych. W tym celu na zebraniu dziekanów górnośląskich w Wrocławiu uchwalono odezwę do duchowieństwa, potwierdzoną przez ks. kard. Koppa, która stawia tę zasadę:

> „Interesy sprawy katolickiej i interesy ludu górnoślązkiego wymagają gwałtownie, abyśmy jak dotąd tak i nadal trzymali razem i nieustraszenie kroczyli za sztandarem centrowym. Centrum czytamy, dalej — zawsze (?!) popierało uprawnione interesy ludu górnoślązkiego i będzie (?) to czyniło nadal, zgodnie z żądaniem, zaznaczonem w odezwie wyborczej do nadchodzących wyborów sejmowych: „Religii, języka ojczystego, rodzinnych zwyczajów i obyczajów poddanych polskich nie naruszać i mianowicie wobec nich na każdym kroku przestrzegać sprawiedliwości.“

Następnie wzywając księży do głosowania na zwolenników centrum dziekani proszą o podpisy pod odezwę innemi słowy domagają się od księży, aby piśmiennie się zobowiązali do popierania interesów partyi centrum.

„Górnoślązak,“ ogłosiwszy tę odezwę pisze:

> „Księża germanizatorzy twierdzą, że sprawa katolicka wymaga, aby lud górnoślązki, którego przekonań polskich jakoś uznać nie chcą, pozostał wierny stronnictwu cen-

trum i głosował w wyborach sejmowych tylko na centrowca. Twierdzenie to rozmija się z prawdą, skoro weźmiemy pod uwagę Pszczyńsko-Rybnickie. Tam Polacy katolicy postawili swych kandydatów, chyba równie dobrych katolików jak centrowcy. Nie można zatem utrzymywać, jakoby tam sprawa katolicka wymagała, aby lud polski głosował na centrowców. Nie sprawa katolicka, ale interesy niemieckiego stronnictwa politycznego centrum wymagają, aby lud w Pszczyńsko-Rybnickiem głosował na centrowców.

„Znów więc duchowieństwo niemieckie zamierza wydać pobudkę wyborczą, w swych celach zbliżoną do listu pasterskiego. Dziekani, zamiast radzić nad sprawami kościelnemi i religijnemi, uchwalają odezwy polityczne i znów wciągają osobę ks. kardynała w wir walki wyborczej."

— *Głos Śląski*" zaś tak na ten okólnik się zapatruje:

„Szczerze ubolewamy, że okólnik ten się pojawił i że pojawił się w chwili obecnej. Nie przyczyni się on w niczem do załagodzenia stósunku pomiędzy tymi księżmi, którzy walczą przeciwko ruchowi narodowemu, a ludem polskim. Przeciwnie, rozdział zostanie tylko pogłębiony, a to nie może leżeć w interesie choćby samych księży.

„Przypuszczać należało, że po ostatnich wyborach parlamentarnych fale wyborcze się ukołyszą, że sami księża zrozumieją, iż walka przeciwko polskiej narodowości ludu polskiego jest nadaremną, bo lud ten nie opuści swego sztandaru narodowego. Ruch narodowy podczas ostatniej walki wyborczej pokazał swą siłę i swe znaczenie. Z tem każdy przezorny polityk liczyć się powinien, a już koniecznie liczyć się z tem powinni księża, żeby nie pogłębiać rozdziału pomiędzy sobą a ludem.

„Tymczasem mamy znów nowy okólnik, pędzący wprost księży do agitacyi wyborczej. To niedobrze, to nawet bardzo źle. Okólnik powiada, że interesy sprawy katolickiej i interesy ludu polskiego wymagają, ażeby jak dotąd, tak i nadal trzymać się partyi centrowej. Partya centrowa zaś jest partyą polityczną, a sprawa katolicka — to sprawa Kościoła katolickiego, ufundowanego przez samego Chrystusa Pana.

„Rozumielibyśmy okólnik księży, gdyby nasz polski ruch narodowy był wrogim Kościołowi i sprawie katolickiej. O tem nie ma jednak mowy. Jesteśmy, co najmniej, tak dobrymi katolikami, jak centrowcy. A jeżeli bronimy przytem naszej narodowości polskiej, jeżeli chcemy pozostać Polakami, to z jakiej racyi okólnik księży nam tego prawa odmawia? Katolikami dobrymi pozostaniemy, sprawie katolickiej szkody nie przyniesiemy, ale do partyi centrowej należeć nie będziemy, bo to partya niemiecka, a my jako Polacy łączyć się musimy z Polakami."

Prawdziwe cele centrowców i stosunek ich do Polaków odsłonił jasno i z zadziwiającą szczerością centrowy organ: „Das Zwanzigste Jahrhundert," pisząc:

„Do rozłamu pomiędzy centrum a Polakami — przyjść koniecznie musiało, ponieważ już od samego początku ani jedno ani drugie z obu stronnictw nie żywiły względem siebie rzetelnych zamiarów. Dla partyi centrowej były żądania Polaków w gruncie rzeczy obciętnemi, Polacy stanowili dla niej li tylko dobrą podporę służącą jej specyalnie na Górnym Śląsku dla utrzymania krzeseł parlamentarnych(!!)"

Sprawami ślązkiemi, a mianowicie chwiejnem zachowaniem się „Katolika" zajmiemy się w przyszłym numerze. Tymczasem *wybory* zaprzątają szczególnie uwagę społeczeństwa.

Wiec jarociński, głównie zaś zachowanie się tamtejszych ludowców, o którem piszemy na innem miejscu przejmuje słusznem oburzeniem *„Postęp,"* który w artykule poświęconym tej kwestyi z zdziwieniem podnosi, iż kandydatura ks. Jaździewskiego przeszła tam bez opozycyi. A

„Ruch ludowy w Jarocinie jest tak silny i dobrze zorganizowany, że jedno słówko przywódzców jarocińskich wystarczało, a kandydatura ks. Jaździewskiego by upadła."

— w co, znając tamtejsze stosunki nie wątpimy ani chwili.

Następnie „Postęp" podkreśla, iż p. Jachowski zadowolił się ogólnikami i pisze:

„Środa może mieć teraz po zebraniu słuszny żal do Jarocina, że tamtejszy ruch ludowy dopomógł do zwycięztwa ks. dr. Jaździewskiemu. Popełniono więc w Jarocinie *niekonsekwencyą,* wprawdzie p. Jachowski ujął się za posłem Głębockim, zganił zachowanie się księdza Jaździewskiego, ale *to samo nie wystarczało.* W takich razach powinni ludowcy, a zwłaszcza ich przywódzcy w Jarocinie, sami mieć tyle zrozumienia, że *jedno z drugiem pogodzić się nie da i nie ulegać wpływom ubocznym.* Wielką delikatnością i uległością ruch ludowy wobec polityków ugodowych *wiele co nie zrobi, gdyż ci panowie wyzyskają wszystko na swą korzyść."*

„Jeżeli ruch ludowy — ciągnie „Postęp" bardzo słusznie — nie będzie jednolicie postępował, jeżeli nie będzie się trzymał uchwał, a każdy na swą rękę mimo zorganizowania działał, *to się i tak wszystek rozchwieje w niwecz i szkoda na wszystko czasu i atłasu;* albo wspólnie postępować, albo dać wszystkiemu spokój i niech każdy na swą rękę działa pokątnie. Będziemy widzieli, do czego się wiedy doprowadzi. Po co się dopiero organizować? *Zaprowadzić dyktaturę, a może być, że dla pojedyńczych jednostek będzie najdogodniej. To wszystko można nazwać wodzeniem na pasku innych.* Otwarcie działać i postępować, to naszem zdaniem jest najlepszem wobec przeciwników, a także wobec siebie samych."

W końcu „Postęp," napiętnowując postępowanie ludowców jarocińskich, ostrzega ich, by nie myśleli, że ks. J. stanie się ludowcem, a nie będzie szył im butów.

„Kur. Pozn." odsłonił drastyczną korespondencyą pomiędzy p. Sewerynem Moszczeńskim z Kołybek p. Łekinem, a nacz. redaktorem swego pisma ks. kan. Zimmermanem. Występując w obronie brata p. Mieczysława Moszczeńskiego, który wskutek sprzedaży swej wsi, Niemczynka komisyi kolonizacyjnej naraził się na ostre notatki w „Kur." i „Dzien. Pozn." — p. Seweryn Moszczeński z niesłychaną bezczelnością napadł na redaktora „Kuryera." Zaprawdę nie sympatyzujemy z tendencyami „Kuryera," wszelako w tym wypadku współczujemy z ks. kan. Zimmermannem, iż pisząc w myśl ogółu przeciwko sprzedawczykom wystawiony został na obelgę. Atoli obelga ta spada na głowę p. Seweryna Moszczeńskiego. Krewki, bezczelny i zuchwały akt jego *„Dzien. Berl."* nazywa trafnie: *„rozbojem na publicznej drodze,"* który cała prasa poznańska potępiła solidarnie.

Artykuł nasz: *„Hodowla miernot"* nie pozostał bez echa.

Uderz w stół, a nożyce się odezwą; na wspomnienie o poznańskiej hodowli miernot ozwał się „Dzien Pozn." i raczył przyznać nam „pewną racyę," ale tylko „pewną" — nie za wiele racyi — tylko troszeczkę. Gdzie kryją się odsunięte od prasy talenty, tego „Dzien." nie wie, z tej prostej przyczyny, iż ich nie szukał, mimo swego ogromnego „zapału dla talentów." Kto oczekuje, aby talenty chodziły z koszykiem swego towaru i swoją „taryfą" doczekać się musi—miernot, bo jak talent z jednej strony wolnym jest od arogancyi tak z drugiej posiada poczucie wewnętrznej wartości, która nie pozwala mu posuwać się do kramarstwa i służalstwa. Trzeba szukać talentów!

Jak gdyby dla zilustrowania artykułu: „hodowla miernot," „Dzien. P." zaraz w tym samym numerze, (kilka wierszy poniżej uwag o artykule „Pracy") mimowoli i bezwiednie dostarczył przykładu beotczyzny. Reklamując w bombastyczny sposób pewnego malarza — portrecistę, pisze „Dzien."

między innemi w te słowa: „wszystko malowane z natury *bez pomocniczej fotografii.*“ Taki Pochwalski wyprosiłby sobie, aby go sławiono w ten sposób, lub — rozśmiał się nad prostaczem pojęciem wzmiankarza o malarstwie portretowem. Tylko zmanierowany malarz lub rzemieślnik artystyczny, który gotów chodzić z swą taryfą, bierze do pomocy fotografię, gdyż oduczył się lub nigdy nie umiał patrzeć po malarsku, czytać w naturze, wyczuwać kontury i linie. Malarz-*artysta* zaś nie tylko nie posługuje się przy portretowaniu fotografią, lecz nawet nie umie portretować z fotografią. Niby kopiując z natury, wyposaża ją cechami swej indywidualności artystycznej, — tworzy. Przy twórczości zaś fotografia, jako produkt bezdusznego mechanizmu, nie może być pomocą. Należało przeto w inny sposób sławić malarza, którego się chce stawiać na piedestale Pochwalskiego.

W ten sposób „Dzien.“ zaszczepia w czytelnikach błędne pojęcia i przy całym swym „zapale dla talentów“ zdaje się być hodowcą miernot.

Zupełną racyę wywodom Quis'a przyznaje *„Kuryer Warszawski.“* W artykule: „Emigracya talentów“. W. R. maluje wymownie i znakomicie stosunki panujące u nas, między innemi tak pisząc:

„Ktokolwiek ma odrobinę talen-[illegible]icka za granicę, lub zgnębiony [illegible]ścią życia umysłowego, traci polot i siły, obniża aspiracje, kurczy się i... chłopieje. Jakaś szara pospolitość, przerywana tylko wrzaskiem bojów partyjnych, rozsiadła się w prasie poznańskiej. O literaturze i sztuce, o wielkich zagadnieniach ludzkości, nawet o prądach społecznych i naukowych mówi się w tonie tak nizkim, w formie tak pretensjonalnie niezdolnej, że inteligentniejszy czytelnik odkłada zwykle z niesmakiem gazetę. Poziom intelektualny najpoważniejszych dzienników poznańskich mało się różni od poziomu naszych gazetek prowincyonalnych. A bywają tam nieraz i takie popisy uczoności, które są w prasie polskiej wprost unikatami. Dość powiedzieć, że przed niedawnym czasem organ bardzo poważny, oceniając jakąś sztukę Blizińskiego, tak rzecz przedstawił, jakby Bliziński żył jeszcze, i dawał mu rady, niby początkującemu autorowi, jak w przyszłości pisać powinien. Dość powiedzieć, że czytałem w jednem z czasopism, mających pretensje do powagi i literackości, bardzo popularny, na wszystkich estradach deklamowany, sto razy ogłoszony wiersz Krasińskiego, poprzedzony uwagą redakcyjną, że wiersz ten zupełnie dotychczas nieznany nadesłał redakcji jeden z przyjaciół pism[illegible] A [illegible] krytyki literackie, sprawozdania z wystaw, to porównywanie nieudolnych pacykarzy z Pochwalskim i Matejką, te sprawozdania teatralne, te feljetony niby humorystyczne, wszystko to ma tyle właśnie wspólnego z literaturą, ile kwestja marokańska z fabrykacją szwedzkich zapałek.“

Przytoczywszy część artykułu „Pracy“ „Kur. Warsz.“ podnosi, że na bolesną skargę „Dzien. Pozn.“ odpowiada „ironicznym dowcipem o taryfach i sprawę sięgającą w głąb życia społecznego i związaną tysiącem ogniw z psychologią stosunków, rozstrzyga płyciutkim argumentem — o honoraryach autorskich.“

„W Poznaniu — kończy „Kur. Warsz.“ — nazywają to „wygórowaną pretensją“, gdy literat lub dziennikarz rości sobie prawa do takich samych zarobków, jak przeciętny lekarz, urzędnik lub choćby subjekt handlowy, — tak! możnaby w tej sprawie mnóstwem argumentów zdemaskować obłudę, ale wogóle rozstrzyganie kwestji bardzo poważnej i skomplikowanej tanim dowcipem o „feniksach“ i taryfach jest tak płytkie i tak niesmaczne zarazem, że nie mam wcale ochoty do polemizowania z *Dziennikiem poznańskim.* Zaiste, odpowiedź Pytji wielkopolskiej to charakterystyczny przyczynek do hodowli miernot i kultury dziennikarskiej w Poznaniu.“

Redakcya.

Głosy od Przyjaciół.

Z Brodnicy, 26 października.

Zebranie przedwyborcze zwołane na powiat brodnicki zagaił o godzinie 3-ciej po południu 25 b. m. w hotelu de Rome przewodniczący powiatu p. K. Łyskowski z Komorowa. Przedstawiwszy w krótkich, treściwych słowach cel zebrania, zdał sprawozdanie z czynności i kasy komitetu wzmiankowanego i proponował na przewodniczącego zebrania ks. proboszcza Doeringa z Brodnicy, którego jednogłośnie przyjęto. —

Przewodniczący konstytuuje biuro i upomina wiecowników aby w poważny i zgodny sposób przystąpili do obrad nad porządkiem dziennym, którego pierwszym punktem był obór kandydatów na posła. —

Ożywiona dyskusya rozpoczyna się nad proponowanymi przez komitet powiatowy kandydatami t. j. p. Ossowskim z Najmowa i p. Jaworskim z Lipinek.

Z nie małem zdziwieniem wiecowników wykazało się z dyskusyi nad powyższym tematem, że p. Lipinski z Brodnicy na swoją rękę zwołał zebranie u siebie, na którem nową listę kandydatów ustanowiono, pomimo że n[a] poprzedniem zebraniu komitetu powi[a]towego zgodził się na kandydatów wy[-] żej wymienionych. —

Lista kandydatów na tem zebrani[u] prywatnem w pomieszkaniu p. Lipi[n]skiego, obalając uchwałę komitetu p[o]wiatowego, była następująca:

p. Lipinski z Brodnicy
p. Ossowski z Najmowa
p. Koczwara z Brodnicy.

Przewodniczący ks. proboszc[z] Doering, chcąc zażegnać wszelkie ro[z]dwojenie proponuje od siebie p. p. O[s]sowskiego i Lipinskiego. —

Zebranie całe na razie zgadza się n[a] to, lecz uporczywie upomina się póź[-] niej pewna część wiecowników posta[-] wienia p. Lipinskiego na pierwszem p. Ossowskiego na drugiem miejscu.—

Wskutek tego powstaje taka wrza[-] wa, że przewodniczący był zmuszonym kilkakrotnie wzywać do spokoju, a gdy pomimo wszelkich nawoływań tumult się nie uspakajał, przewodniczący zło[-] żył swoje urzędowanie i wiec zost[ał] rozwiązany. —

Konstanty Łyskowski,
przewodniczący

— ***W niedzielę d. 8 listopada*** b. r. po południu o godz. 2 odbędzie się w Janówcu na sal[i] p. Walkowiaka ***wiec przedwyborczy,*** na który uprzejmie za[-] prasza

Komitet.

— ***Manuskryptów niezwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.***

Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“

Zaległe numery musi dostarczyć każda poczta na żądanie.



S. Seymour-Thomas.

Ofiara poświęcenia.

„ALBUM PRACY“. „DRUKIEM PRACY“.

Dział illustrowany.

Za zmarłych dusze.

Biją a biją żałobne dzwony
Nad ziemią chmurną,
Płynie w łzach bólu w nieznane [strony
Straszne nokturno.

Tam pod kamienną grobowca płytą,
Gdzie drżą wierzbiny,
Czyjeś kochanie na wieki skryto,
Czyjś skarb jedyny!



A z nim i szczęście śpi [pod mogiłą
I już nie wskrześnie;
Serce co biło, kochało, śniło
Spoczywa we śnie!

Z chmurnego nieba mży [deszcz jesienny
Na smutne groby,
Idzie, jak upiór cichy i senny,
Widmo żałoby.

Między grobami posępnie [kroczy,
Szczęścia morderca,
I łzami żalu zalewa oczy,
A jadem serca.

Lecz z góry płynie anioł [otuchy,
Cherubin wiary,
I zmartwych wskrzesza [uśpione duchy
Na ziemi szarej.

Biją a biją dzwony pogrzebne,
Jęczą i płaczą,
A niebo roni łzy rosy srebrne
Nad serc rozpaczą.

Wskazuje drogie cienie błądzące
W gwiazd zawierusze —
I oto płyną modły gorące
Za zmarłych dusze...

Or–ot.

Cześć umarłym!



Ilu też ludzi znajduje się na kuli ziemskiej? Powiadają, że półtora miliarda. A ilu w dzień umiera na sekundę? Powiadają, że jeden. A ilu się rodzi na sekundę? Powiadają, że także jeden. Skąd-że ich przybywa? Bo przecież nie we wszystkich krajach tak, jak we Francyi, ludność maleje. Oczywiście, ludzi musi więcej przybywać, niż ubywać, skoro się kraje zaludniają, skoro statystyka co pewien okres czasu, co lat 5, 10 czy 15, pokazuje ich więcej niż przedtem było. Więc dokąd-żeby ich przybywało, i coby w końcu jedli? A, tego już nie wiemy. Domyślamy się, że to się kiedyś skończyć musi; koniec zaś położy światu śmierć.

My tedy dziś, inne ludy bardzo dawno, obchodziły pamiątkę zmarłych w innym czasie, lub może w tym samym, i utworzyły sobie święto umarłych, jedno ze świąt najdawniejszych, bo i śmierć należy do najdawniejszych zjawisk na ziemi.

W odległych czasach ludzie nie mają publicznych cmentarzy, nie mają kościołów, a nieboszczyków chowają przy sobie w komorze, w ogrodzie, noszą im co czas jakiś jeść; jeszcze wszystko tak, jak było, jedno, że nieboszczyk lub nieboszczka do roboty iść nie mogą, ale smucą się i cieszą na równi z żywymi. Z czasem jakoś to ludziom nie mieści się w głowie, zwłaszcza gdy nieboszczyków wynieśli pod kościół, lub gdy ich włożyli do trumny kamiennej, to jest otoczyli kamieniami. Taki tryb grzebania upowszechnia się przynajmniej dla zamożniejszych, dla biskupów. Śmierci i umarłego żywi się nie boją, gdyż śmierć i życie tuż obok siebie mieszkają. Dużo zaś musiało upłynąć czasu, nim się te zwyczaje zatarły; musiało przyjść i chrześcijaństwo, i nowe zwyczaje zaprowadzić, lub stare zmodyfikować, żeby nie było widać dawnych. Dzisiejszy więc sposób chowania zmarłych i przywiązane do niego pojęcia są tak różne od dawnych, jak człowiek dojrzały od dziecięcia. Śmierć stała się straszniejszą, a chociaż po dużych miastach często do domów zagląda, jednakże oswoić się z nią nie tak łatwo.

Człowiek, chociaż żył długo, jednakże swojego nie odżył; zdaje mu się zawsze, iż jeszcze brakuje mu mniej lub więcej; inny ma interesa do załatwienia; tamten oczekiwał jakichś zmian: słowem śmierć przychodzi za wcześnie. Może niemasz nikogo, dla któregoby przyszła w porę, jedno dla tych, którzy spadku czekają.

Powiadają, że ci, którzy długo żyli i dużo się napracowali, chętnie do tego snu powieki stulają: snadź rzadko się to zdarza, jak to nawet z bajki widać. Gdy śmierć wzywana przyszła zapytać się babki z wiązką chróstu: czegoby chciała? — „Pomóż mi!“ — rzecze.

Przypuśćmy tedy, iż są ludzie, którzy chętnie umierają, którym życie tak się dało we znaki, czy chorobą, czy niedostatkiem, czy wiekiem, że nie żałują ani dzieci, ani krewnych, ani znajomych, ani dostatku; to jednakże dla żyjących mała stąd pociecha, albowiem zmartwieli, znikli, nie można z nimi pogadać, poradzić się ich, pożalić się im, a o to głównie żyjącym chodzi. Gdy więc stosunki takie, jak z żywymi, są niemożebne, człowiek zaczyna ich czcić, zastawia stół do obiadu nakryty, rozlewa i rozrzuca jedzenie w cztery strony świata, słowem postępuje, jak z żywymi.

Kiedy nieboszczyków nie widać w domu, idzie człowiek z jedzeniem do grobu, a gdy i tam ich niema, zanosi wieńce, świece na cmentarz, a tym sposobem powoli ustala się cześć dla umarłych. Ale czy dla wszystkich? Oczywiście, nie dla wszystkich. Bo nie wszystkich stać na takie stypy, nie wszyscy zasłużyli; ale jednak są i tacy, którzy do dziś dnia, po śmierci nieboszczyka, zabijają wieprzka, sproszą sąsiadów, znajomych, kupią gorzałki i piwa, i już cały dzień biesiadują w domu, u krewnych nieboszczyka, nie w szynku za miastem, przy cmentarzu, blizko nieboszczyka.

Czy wszyscy tak czynią? Mówiliśmy, że nie; ale dlaczego? Nie tylko dlatego, że ich nie stać, ale i dlatego, że nieboszczyk, żyjąc na tym świecie, wiódł się niepoprawnie.

Może w dawnych czasach, gdy ludzie bliżsi byli dzikich, było inaczej; ale teraz cześć dla zbója, złodzieja, złoczyńcy oburzałaby nawet prostaczków. Więc cześć, wprawdzie niepowszechna, ustała się co najmniej wśród krewniaków, blizkich znajomych, i tym sposobem świat umarłych oddziaływa na żywych. Tak się dzieje z ogromną większością zmarłych; jednak wśród nich pomarli i więcej, niż swoim tylko znani, pomarli dzielniejsi ludzie, wojownicy, zdobywcy, wynalazcy, dobroczyńcy, ludzie — jak nazywamy — wielcy. Gdyby nie ci, grzebalibyśmy się prawdopodobnie w popiele, czy w ziemi, nicbyśmy nie znaczyli, nie umieli ani czytać, ani pisać; co większa, nie znali może ani ognia, ani żelaza i tego, co ogień i żelazo otrzymać pozwalają. Więc tym nieboszczykom, którzy to wynaleźli i których po większej części nie znamy, winniśmy cześć istotną. Kto o tem myśli, lub przynajmniej pamięta, że bez nich nie bylibyśmy tem, czem jesteśmy?

Gdybyśmy zdołali poznać całą ziemię, prawdopodobnie już nie znaleźlibyśmy plemienia, nie znającego czci dla umarłych; że jednak wszystkich plemion nie znamy, więc i to pytanie zostawimy bez odpowiedzi: to jedno

pewna, że urodziny nie wrażają się tak dobitnie w pamięć żyjących, jak śmierć; więc też bez narażenia się na zaprzeczenie, można utrzymywać, że pamięć o umarłych jest bardzo dawnem świętem, starszem od wszystkich, świętem dla wszystkich uniwersalnem.

Ale chociaż śmierć z taką grozą przychodzi, jednak nie dają się jej pożreć wszyscy; zawsze zamożniejsi i wobec niej, przynajmniej na czas, ocalić się pragną; jedni pomnikami, arcydziełami sztuki, inni filantropijnymi legatami, a każdy z nich myśli sobie: *Non omnis moriar*, — nie umrę zupełnie.

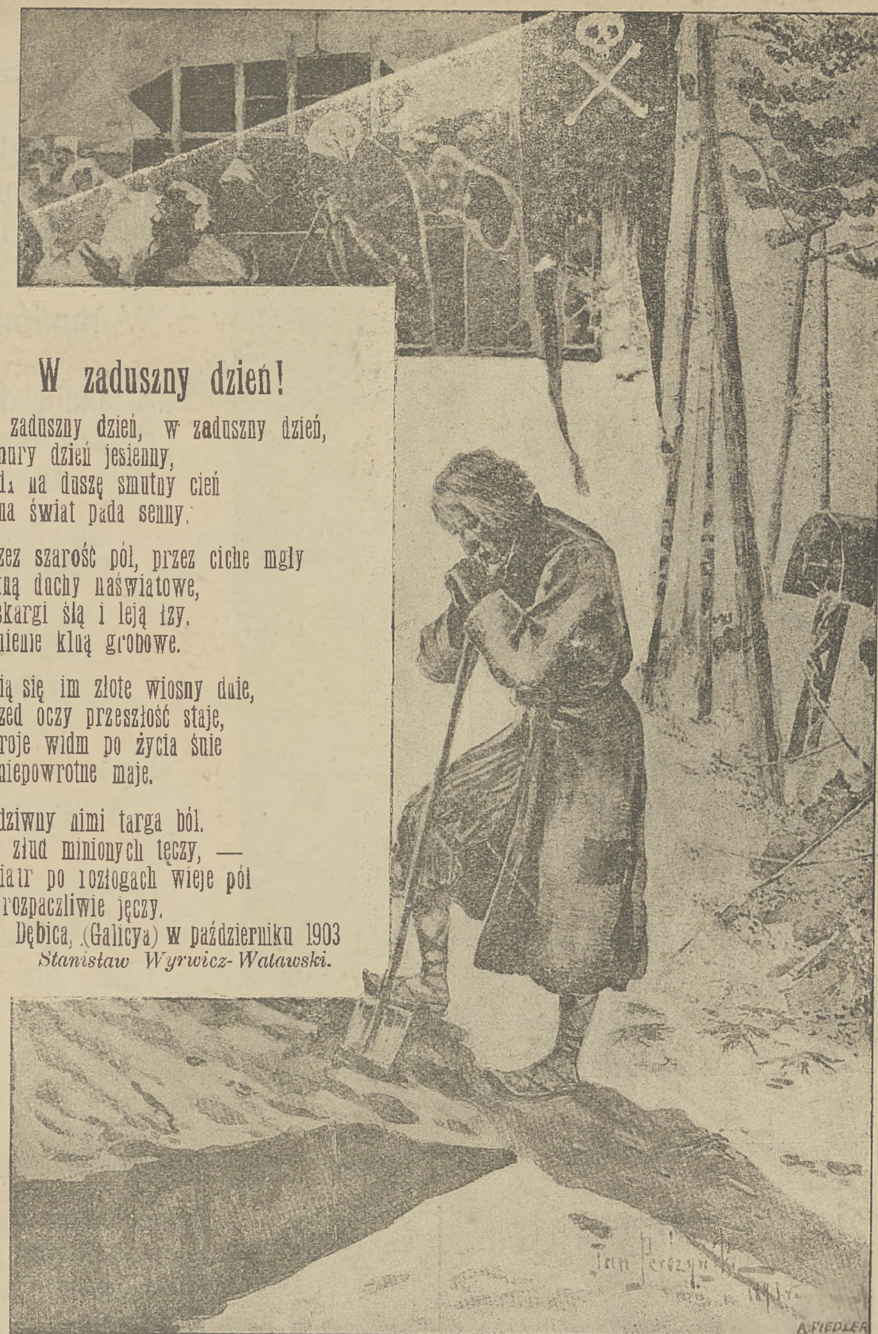
Pomijając więc w tej chwili złych, pomijając bogatych, pierwszych, jako niezasługujących na pomniki a drugich, jako mających pomniki, — pozostanie ogromna liczba nieboszczyków bez widomego znaku na ziemi, a jednak dobrze zapisanych w pamięci pozostałych: byli to pracownicy bezimienni, którym w późniejszych czasach dano nie pomnik, lecz wieczny odpoczynek. To dzień zaduszny.

Dzień to osobliwy; nie jest on świętem całkowitem u chrześcijan; mówią, że jest pół-świętem, równie jak Popielec; a jednak ludzie cały dzień świętują. A jakże się wszyscy krzątają, jak się wszyscy stroją, jak do tramwajów cisną, jak świeczki, jak wianuszki na grobach stawiają: cały cmentarz w ogniu. Pokażcie drugie takie święto: otóż to cześć dla umarłych raz do roku, ale to chyba najruchliwsze święto: wszyscy Polacy je świętują. Dlaczego świętują? Mnóstwo ich nie wie dlaczego, ale świętują niby tylko pół dnia, ale w gruncie dzień cały i długo w nocy.

Coś w tem być musi, gdy lud, bez duchowieństwa brata się z nieboszczykami; czyby go do tego popychała wdzięczność instynktowna, czy też poczucie jedności rodu z miliardami wymarłych; dość że się modlą i nieboszczykom cześć oddają. Ci się cieszą, że o nich nie zapomniano, że chociaż raz na rok z żyjącymi świętują. Oni są z nami w spółce.

Więc chociaż nie możemy na pewno powiedzieć, co skłania żywych do pamięci o umarłych, jednak widzimy fakt, i to powszechny, lub prawie powszechny; jest w nim zapewne i czułość, i wdzięczność, i myśl o połączeniu się kiedyś z umarłymi.

Który z tych czynników najsilniej działa? Zależy to od okoliczności. Na ludzi ukształconych najsilniej może działa wdzięczność, znajomość faktów,



W zaduszny dzień!

W zaduszny dzień, w zaduszny dzień,
Ponury dzień jesienny,
Padł na duszę smutny cień
I na świat pada senny.

Przez szarość pól, przez ciche mgły
Mkną duchy naświatowe,
I skargi ślą i leją łzy,
Istnienie klną grobowe.

Śnią się im złote wiosny dnie,
Przed oczy przeszłość staje,
I roje widm po życia śnie
I niepowrotne maje.

I dziwny nimi targa ból.
Po złud minionych tęczy, —
Wiatr po rozłogach wieje pól
I rozpaczliwie jęczy.

Dębica, (Galicya) w październiku 1903
Stanisław Wyrwicz-Walawski.

trudów, nieszczęść, jakie nieboszczycy znieśli, a nie zachwieli się, nie upadli, wytrzymali i głód, i chłód; gotowiśmy im zaraz cześć oddawać, mówimy sobie: „Warci!“ Możemy im pomnik postawić i na to odjąć całej rodzinie chleba. Tak istotna zasługa jest potężną, że z najtwardszych rąk i najskąpszych serc grosz wyciśnie. Dajmy jednak na to, że pomnika się nie doczekasz, aleś żył dla ludzi, dla swoich, i w tej ogólnej cyfrze swoich będziesz od potomnych uczczony, jako bezimienny. Czyż ci to mało? Źli podobno nie mają pomników, bogaci mają; jednych i drugich nie wiele bywa w społeczeństwie. Wprawdzie złych więcej, niż bogatych, ale i tych pierwszych nie tyle, ażeby mogli zaważyć na świecie; zawsze średniaków najwięcej. Otóż, my ze średniakami . Wprawdzie na tamtym świecie demokracya chyba nie wiele waży, my jednak z demokracyą.

Więc cześć dla tych umarłych, którzy pracowali przed nami na chleb, na naukę, na uszlachetnienie, pokłon dla tych dobrodziejów, którzy nie o pomniki dla siebie, lecz o ulżenie doli nieszczęśliwych dbali. Przeszli i niema ich. My w dzień zaduszny pamiętamy o nich wszystkich, a są ich miliony, a może miliardy .

Jest w tem półświęcie, zwanem Zaduszki, myśl wielka, echo całego rodu ludzkiego, odzywające się do nas przez tysiącolecia bez względu na różnice wiarowe lub etnograficzne. Jesteśmy całością i jednością bez względu na różnice, przydatne garstce, ale wrogie jedności i całości.

Ks. F. K......ski.



DO NIEBA.

Anioł śnieżnemi skrzydłami
Roztrąca
Błękity powietrznych fal....
Z ust jego pieśń płynie drżąca,
Sennemi mknie akordami
W przezroczą dal...

W ramionach lekko kołysze
Dzieciny...
Zdążają do Nieba wrót
Dusze bez grzechu i winy...
I głuchą, bezdenną ciszę
Zmąca Pieśń-Cud...

Wtem — z ziemi zabrzmiał bolesny
Jęk matki,
Rozpacz w nim dźwięczy i żal...
Ubyło dwoje z gromadki,
Śmierć plon zebrała przedwczesny
I niesie w dal...

O, matko... ucisz swe jęki..,
Twe dzieci
Wśród rajskich odżyją pól...
I ziemskiej unikną męki
Tam gdzie się wieczny maj kwieci,
Gdzie obcym — ból...

Jan Mort.

Z tajemnic zagrobowych.

Przed kilkunastu laty, zwiedzając Kraków, gdy przechodziłem obok kościoła Maryackiego z pewnym staruszkiem, wicher dął gwałtowny, a ja, rozradowany widokiem tylu odwiecznych pamiątek prastarego grodu, głośno swój zachwyt wyrażałem. W tym wichrze słyszałem szept przeszłości tych zgrzybiałych murów, i uroczyście bijących dzwonów, echa i pieśni żałobne nad mogiłą walecznych królów, co tu w podziemiach świątyń szczątki swe złożyli i szept miłosny kochanków, i trzask stosów palących ciała w pogańskich mogiłach ukryte.

— A mnie młodzieńcze, co innego ten wicher przypomina, odrzekł mój siwowłosy starzec. Historyę tę powtórzę ci, by dowieść, że rozum ludzki nie wszystko wytłomaczyć może. A choćbyś wreszcie i zdołał tę opowieść obedrzeć z szat, w jakie je podanie ludu przybrało — uszanuj ją, bo to błąkająca się sierota naszej przeszłości, z której taką lub inną, ale zawsze naukę poczerpnąć można.

Byłem młodzieńcem wówczas, a przechodząc codziennie obok tego kościoła, bez względu na pogodę spotykałem pod drzwiami świątyni kobietę klęczącą w porze wieczornej, z twarzą do wrót przyciśniętą. Niejednokrotnie rzucałem jałmużnę, ale nigdy kobieta nie odwracała się do mnie.

Widywałem tę kobietę lat kilkanaście, a widywali ją wreszcie i wszyscy inni. Przypadek raz zdarzył, że policyant chciał ją aresztować za żebraninę. Nadszedłszy na to, stanąłem w obronie kobiety i zwolniono ją. Przekonałem się, że to młoda jeszcze, zaciekawiony więc byłem, dlaczego tu żebrze. W odpowiedzi, acz niechętnie, upewniła mnie, że nie cel żebrania jałmużny tu ją sprowadza codziennie i że nie ona, lecz jej matka dawniej zawsze tu klęczała. Ona przychodzi dopiero od chwili śmierci swej matki.

Po wielu naleganiach o przyczynie tej modlitwy opowiedziała mi taką historyę. Przed bardzo dawnym czasem w Krakowie panowała zaraza morowa. Człowieka trudno było spotkać na ulicy, bo tylko chodzili grabarze po mieście i zabierali umarłych. Takim grabarzem był jeden z jej przodków, ale zły duch namówił go do takiej zbrodni, iż chodził po domach zapowietrzonych, dusił chorych i zabierał, co posiadali Ukarany za to był śmiercią, a ciało jego na cmentarzu obok kościoła pochowano.

Następnej jednakże zaraz nocy straszny zerwał się wicher i poobalał kilka krzyżów na cmentarzu, choć nigdzie w Krakowie wichru tej nocy nie było. To samo powtarzało się długi czas podczas każdej nocy, aż lud zaczął szemrać i dowodzić, że wicher ten, to taniec złych duchów, że taki zbrodniarz nie powinien być pochowanym na miejscu poświęconem.

Żyła wówczas w Krakowie znana ze swej świątobliwości Barbara Langa. Ona to wytłómaczyła ludowi, że nie do niego należy sądzenie spraw kościelnych, a jednocześnie poszła do córki owego grabarza i powiedziała jej, że jeżeli chce sama być wolną od nagabań złych duchów i lud uspokoić, niechaj codziennie aż do śmierci modli się przed kościołem Maryackim, a po śmierci jej, czynić to ma córka i tak dalej, aż do ostatniej kobiety w rodzie.

Modliła się też ona i jej córka, a następnie córki w pokoleniu aż do mej matki, której ja na łożu śmiertelnem zaprzysiądz musiałam, że ślubu tego dotrzymam. Jestem ostatnią, bo córki nie

mam. Gdym jedak przed kilkoma laty przez lekkomyślność kilkakrotnie nie przyszła na modlitwę, zawsze wicher następnej nocy szkody w tej okolicy poczynił, a mnie spotykało jakieś nieszczęście.

Oto jej opowiadanie. W miesiąc później leżała już w grobie.

Starzec zamilkł, a ja starałem się ukryć uśmiech niedowierzania tłoczący się na usta.

Życie ludzkie jest jednak tak wielką zagadką, jak ten świat, który nas otacza. Każdy z nas przechodził chwile zwątpienia i chwile silnej wiary. Niezbadana tajemnica śmierci jednak nie pozwala myślącemu zasypiać spokojnie i pcha go do dociekań. I ja też niejednokrotnie przypominałem sobie to opowiadanie i chciałem zbadać, ile podstawy wiarogodnej ono posiada.

Dziś, po latach dwudziestu, przerzucając karty dziejów naszej ziemi, natrafiłem na taką notatkę w kronice pisanej ręką księdza Krzysztofa Zelnera, mansyonarza kościoła Panny Maryi w Krakowie. „Rok 1589. Tego roku w poniedziałek po św. Trójcy dwóch Niemców, którzy mennicę złą bili, spalono przed żelaznemi kramy, a Węgrzyna, któremu uproszono, tamże ścięto i po nich grabarza od Panny Maryi, w sobotę po oktawie Bożego Ciała, którego też powołali, na temże miejscu ścięto.“

A w innem miejscu czytam: „Drugiej niedzieli po ś. Trójcy zły wicher jakiś nocną porą krzyże na cmentarzu przy kościele Panny Maryi poobalał, a ludzie opowiadają, że nad mogiłą grabarza złe duchy harce sprawiały, a powtarza się to każdej nocy.“

Mam też pod ręką „Dalszy ciąg Kroniki Polskiej Joachima Bielskiego,“ wydany w r. 1851. Jest tam ustęp tej treści: „Roku 1689 dnia 10 czerwca ścięto Bieniarza tegoż kościoła z tej przyczyny: Albowiem jako był przeszłego roku srogie powietrze w Krakowie, zdobywał się ten grabarz na wielkie pieniądze obyczajem zdradzieckim, tak, iż kędy się jeno zapowietrzyło w którymkolwiek domu, a czuł tam o pieniądzach, a nie mógł zapowietrzony tak rychło umrzeć, on mu udławieniem do śmierci pomagał i onych takowych drugich mordował, mając do tego łotrostwa pomocników, z którymi i sklepy łupił. Nawet i miejskim rynsztunkom nie przepuścił, które pod murami miejskiemi kradł, jako prochy, siarki, saletrę, i przedawał; owo zgoła kędy jedno co czuł w sklepie dobrze obwarowanych, wyłupał, i brał, z tego pieniądze zebrał; zwłaszcza w takowy czas podejrzany. Będąc ścięty, pochowan na cmentarzu przy kościele Panny Maryi, pod kamieniem. A iż był łakomym zdrajcą, nie wiem był-li tego miejsca godzien, iż tak wolnie rzekę, albo nie.“

Zestawiłem tu to, com słyszał i to, co mówią kronikarze — sąd pozostawiam czytelnikowi z prośbą o gościnność dla tej sieroty naszej przeszłości, bo jeśli nie prawda, to nauka kryje się pod jej płaszczem. Ja tego płaszcza zedrzeć nie mogę i nie pragnę.

L. V. J.

Pamięć.

Pamięci! Ciche twoich skrzydeł loty,
A głębia wielka twych oczu!
Gdy spływasz nagle przez mgły srebrnej sploty
I budzisz widma po przezroczu,
Masz i ty, jako mocarze niezłomni,
Rozkazy straszne: Przypomnij!..

Pamięci! Groźna twoich ramion władza,
Gdy rany otwierasz w tłumie,
Gdy łzy twa wszechmoc w piołuny przeradza,
A krew zatruwa w zadumie;
Gdy duch prowadzisz na ognisty Synaj,
Mówiąc w błyskaniach: Wspominaj!...

Ale, pamięci, jasnaś ty i słodka,
Gdy spływasz w cichej tęsknocie,
Gdy myśl cię błędna w przeszpiegach napotka,
W jesiennych liści pozłocie,
Kiedy, pamiątek ożywiając cmentarz,
Szepcesz omdlała: Pamiętasz?...

A wtedyś święta, gdy w cmentarne wrota,
Z gwiazdą przyćmioną u skroni,
Wchodzisz i stajesz wśród jesieni złota,
Nieśmiertelniki rwiąc w dłoni,
I mówisz głośno przed smętnymi syny:
Pamiętaj!...

Bożydar.



Smutek.

Kwiaty cmentarne.

Wiara, iż po śmierci ciała dusza ludzka nie ginie, lecz żyje dalej jakiemś innem piękniejszem życiem, tkwi głęboko w naturze naszej. Ona dodaje otuchy matce, z której ramion dziecię w krainę gwiazd uleciało, ona pociesza dziewicę, której ukochany padł na pobojowisku, ona podnosi nas wszystkich w tych smutnych momentach żywota, w których zmuszeni jesteśmy patrzeć, jak na grobach najmilszych nam istot sypie nieubłagana ręka niemiłosiernie z grudy mogiły.

A gdy myśl nasza ulatuje wraz z modlitwą w nadziemskie krainy, osierocona przyjaźń i miłość nasza, idąc za ostatnim popędem złożenia ofiary na ołtarze czci dla zmarłych, wtyka nam w rękę kwiat, który składamy na pagórku grobowym.

Bo kwiat, to najpiękniejszy symbol miłości i tęsknoty, a zastosowywany w tem znaczeniu już w głębokiej starożytności. Uświęciły go w tym smętnym symbolizmie podania mitologii germańskiej, słowiańskiej i skandynawskiej, uświęciły to później legendy chrześciańskie, a upoetyzowały legenda ludowa i romantyczna utworami takich mistrzów ja Szekspir, Calderon, Mickiewicz, Wiktor Hugo...

A jak głęboko pojętym jest ten symbolizm kwiatu w oddawaniu czci dla zmarłych, dowodzi dalej ta okoliczność, iż używano do tego celu roślin zawsze zielonych, trwałych, a więc nie ginących z roku na rok.

To też z biegiem czasów wytworzyła się osobna flora cmentarna... Więc cyprys, palma, wawrzyn, bluszcz, roz-

maryn, tymianek, ruta, barwinek, nieśmiertelniki...

Cyprys to z symboliki i z powierzchowności znamię głębokiego smutku. Trojanie rzucali na całopalne stosy ze zwłokami drogich osób gałązki cyprysu. Cmentarze Wschodu są lasami cyprysów. U nas musi on walczyć ze srogością klimatu, tak samo jak palma, symbol pokoju.

Wawrzyn i bluszcz to symbole zwycięztwa wiekuistości nad życiem, a powój, którym Rzymianie dawni wieńczyli skronie przy ucztach uroczystych a zarazem zdobili nim groby, oznaczał dla nich *Memento mori!* Znany botanik Unger opisuje jeden z nagrobków cmentarza ateńskiego, na którym, stojąca pomiędzy mężem a niewiastą dziecina po daje zawcześnie zmarłej — listek bluszczu. Pod spodem napis: Nike, córko Doziteusa, z Thasi — kochana i przez miłość stroskana, żegnaj!..

Wiecznie zielonym jest także rozmaryn. Roślina to cieplejs ego południa Europy i wprowadzona dopiero przez Karola Wielkiego. Stała się ulubionym kwiatem szczególniej ludów słowiańskich i południowo-niemieckich szczepów. Jako symbol stałości i wierności służy rozmaryn do wicia wianuszków ślubnych i wieńców grobowych zarazem.

Pokrewny rozmarynowi tymianek, zwany także macierzanką, poetyzuje legenda ludowa, jako roślinę, w której z upodobaniem dusze utęsknionych matek obierają sobie po śmierci siedlisko...

Wiecznie zielonym jest także ulubiony przez nasz lud na grobach barwinek, a z powodu trwałych, smętnych kwiatów zdobią także chętnie groby w nieśmiertelnik.

Wieniec grobowy jest tylko bardziej wyszukaną formą tego samego symbolicznego daru, jakim jest kwiat na grobie. Wieniec jest wytworem sztuki ogrodniczej, a więc dzieckiem nowszych czasów, a okazałe, kosztowne wieńce pogrzebowe czasów dzisiejszych są — analogicznie do wielu innych dzisiejszych objawów chwili — wytworami zbytku i przesady, które zrywają z tradycyą zawsze pierwotnie piękną i głęboką a zatracają i gubią poczucie symbolicznego znaczenia etycznie i estetycznie pięknych obrzędów i zwyczajów.

Najkosztowniejszy wieniec, z egzotycznych palm i wawrzynów uwity, niema ani źdźbła więcej treści, jak skromny kwiat lub wianuszek — uwity własną ręką i z tych kwiatków rodzinnych, jakie drogi zmarły kochał i lubiał za życia. A Calderon powiada: „kwiat jest słodkim pomysłem miłości, a nawet najbiedniejszy naród na świecie ma takie kwiaty, którymi zdoła ozdobić mogiły zmarłych dzieci swoich."

S. P.

Za matulą.

Obrazek wiejski.

Stary Matus saniami zaprzężonemi w parę wołów, zajechał przed chatę na pustkowiu.

Od czasu śmierci kowala, który pozostawił po sobie wdowę i dwoje sierot, nikt prawie nie zaglądał do tej chaty...

I nic dziwnego, — oddaloną ona była od wsi o parę wiorst i ludzie przeniósłszy się z robotą do innego kowala zapomnieli o chacie na pustkowiu i o jej mieszkańcach.

„Kowalicha'' przeto musiała pamiętać o sobie i o swoich dzieciach i aby je wyżywić w lecie trudniła się wyrobkiem i robocizną w polu, a w zimie żebraniną, chaty zaś na pustkowiu nie porzucała, bo nawykła do niej, a zresztą i podziaćby się z dwojgiem dzieci gdzieindziej nie miała.

Tak wlokła swój ciężki żywot lat parę o chłodzie i głodzie, aż wreszcie wycieńczona nadmierną pracą, zapadła ciężko i zmarła.

Ludzie ze wsi dowiedzieli się wnet, że „kowalisze się zmarło'' i kilka kobiet, pomimo mroźnej grudniowej pory przywlekło się, aby oddać ostatnią usługę i zaopiekować się sieroteńkami.

Przyjechał też i stary Matus, który, powodowany jedynie miłością chrześcijańską, zajmował się eksportacyą zwłok biedaków z całej parafii.

Siwe woły Matusa i wóz drabiniasty, albo sanie, znane były wszystkim wybornie.

Gdy Matus zajechał, kobiety zebrane w izbie wybiegły przed chatę.

— Niech będzie pochwalony!... pozdrowił je Matus, uchylając czapki.

— Na wieki wieków... odparły chórem kobiety.

— A jest tam który chłop w izbie? zapytał Matus, zsiadając z sani.

— Bogać tam jest, otoć teraz młocka przedświąteczna...

— No to wy baby pomóżta mi przenieść na sanie nieboszczkę...

— O wa!... zaprotestowały kobiety, — przyjechaliśta po nią, to ją bierzta.

Mimo to wszakże, gdy Matus wszedł do izby i przeżegnawszy się przed stojącą na ziemi pośrodku izby trumną, przykrytą już wiekiem, zabrał się do jej wynoszenia, wszystkie kobiety ofiarowały się z pomocą.

Połączonemi siłami umieszczono wreszcie trumnę na saniach.

Matus miał już ruszyć, gdy przypomniawszy sobie o dzieciach nieboszczki, zapytał:

— A dzieciaki?...

— Zabierzewa je do wsi — ja wezmę dziewuchę a chłopaka przyhołubi Jędrzejowa.

— Ta nie to... machnął ręką Matus, przecie to ich matula, to trza, żeby szły do grobu... zauważył.

— Kaj tam do grobu... taki ziąb, Pietrek z golemi nogami... zmarznie...

— Toć pewnikiem w chacie są jakie stare buciska, zauważył Matus i wrócił do chaty.

Pod piecem siedziało dwoje, zalęknionych widocznie dzieci: pięcioletni chłopczyk Pietrek i ośmioletnia Jagusia.

— Pietrek pójdziesz za matulą? zapytał dobrotliwie Matus.

Pietrek otworzył szeroko oczy i jeszcze szerzej usta i nic nie odpowiedział.

— Pójdziesz?... powtórzył Matus zapytanie.

— A no!... odparł, kiwnąwszy głową, Pietrek.

— A macie tu jakie buciska? zwrócił się stary do dziewczyny.

— Matuline... stare... wyjąkała dziewczyna.

— Toć duże... a twoje, Jaguś?

— A są... odparła Jagusia, podnosząc nogę do góry, i pokazując względnie do jej nogi i wzrostu dość duże buty.

— To obuj ty matuline, a Pietrek twoje, — doradził Matus.

Dzieci usłuchały i Pietrek wciągnąwszy na nogi zapewne po raz pierwszy w życiu ogromne buty, spojrzał na nie z widocznem zadowoleniem i rozśmiał się głośno.

— Pietrek, cichaj... matuś zmarła... zmonitowała go Jagusia, pojmująca już cokolwiek wielkość straty i uroczystość chwili.

Śmiesznie zaiste wyglądały dzieci w ogromnych butach, które tamowały swobodę ich ruchów.

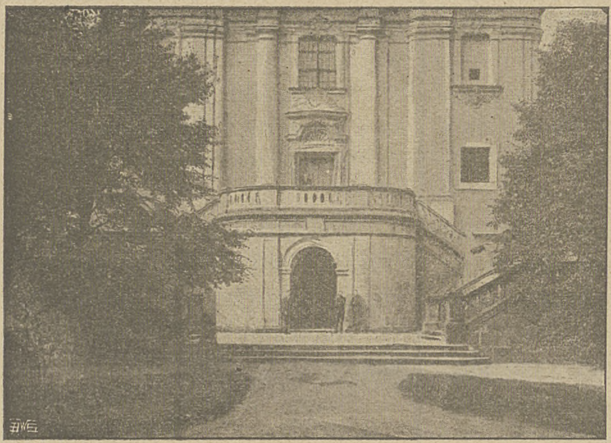
Kobiety stojące przed chatą, pomimo poważnego nastroju chwili, nie mogły się na ich widok powstrzymać od śmiechu.

Tymczasem sieroty stanęły tuż przy saniach, oczekując aż kondukt ruszy.

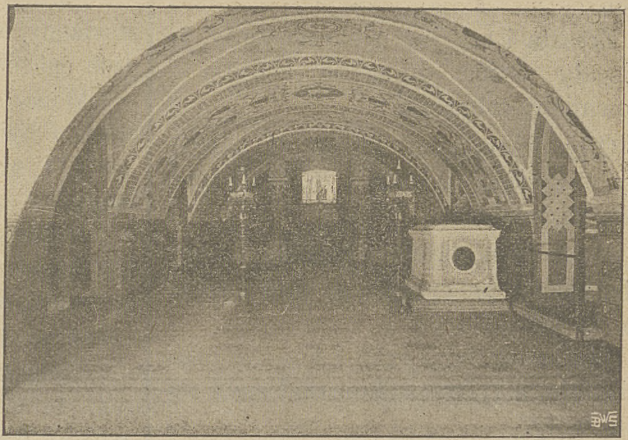
Kobiety naradzały się pomiędzy sobą: iść, czy nie iść na cmentarz?

A toć pół mili drogi, a niedługutko wieczór, ja dla mego muszę zgotować wieczerzę.

Pogrzeb Henryka Siemiradzkiego.



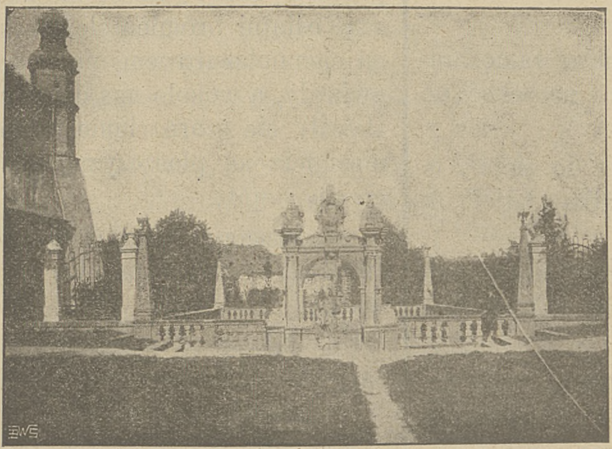
Wejście do grobu Zasłużonych w k ściele na Skałce



Krypta Grobu Zasłużonych na Skałce.



S. p. Henryk Siemiradzki.



Sadzawka ś. Stanisława przy kościele na Skałce.



Przeprowadzenie zwłok H. Siemiradzkiego do kościoła na Skałce.

Dnia 26-go września rb. odbyła się w Krakowie uroczystość złożenia zwłok znakomitego malarza polskiego, Henryka Siemiradzkiego, w Grobie zasłużonych na Skałce. Przed pogrzebem ks. infułat Krzemieński odprawił nabożeństwo żałobne w kościele Najświętszej Maryi Panny; po nabożeństwie uroczysty orszak odprowadził zwłoki z kościoła Maryackiego na miejsce wiecznego spoczynku. W orszaku uczestn czyli przedstawiciele władz krajowych oraz wszelkich instytucyj naukowych i publicznych w Galicyi. W czasie pochodu, na rynku krakowskim, prezydent miasta i inni wygłosili mowy, (patrz korespondencyę z Krakowa w nr. 40-ym „Pracy“ na stronie 1238-ej). Sarkofag Siemiradzkiego znajdować się będzie na środku krypty, naprzeciwko sarkofagu Józefa Ignacego Kraszewskiego.

— I ja także...

— I my także... odezwały się inne i zdecydowały, że obejdzie się i bez nich.

Zresztą i tak już wiele uczyniły, że obiecały wziąć do siebie sieroty — „kowalichy-żebraczki.“

Gdy przeto kondukt ruszył, zawróciły wszystkie do wsi i tylko Jędrzejowa zawołała:

— A pamiętajcie, Matusie, o sieroteńkach i przywieźta je cało i zdrowo do wsi.

Matus machnął ręką i nie odpowiedział nic, a tylko nachmurzył się i pognał woły.

Sanie zaskrzypiały po skorupie śnieżnej.

Dzieci szły, potykając się co chwila.

Ogromne buty z początku wielce bawiły Pietrka, rozbijał niemi z zadowoleniem skorupę śnieżną i podrzucał śnieg do góry.

Jagusia szła w milczeniu, kiedy niekiedy ciężko wzdychając.

Droga szła przez pole. Matus brnął po śniegu napędzając woły, i spoglądał niekiedy z pewnem zaniepokojeniem do góry.

Niebo zaciągało szaremi chmurami.

Płatki śniegu zaczęły się ukazywać w powietrzu; zerwał się wiatr zachodni.

— Źle! mruknął Matus, może być wichura!...

Obawy jego były uzasadnione; silny wiatr napędzał coraz nowe chmury, śnieg coraz gęściej zaczął padać; można spodziewać się zadymki...

Była zaledwie trzecia godzina, a zaczynało się szybko ściemniać.

Ujechali dopiero połowę drogi.

Pietrek w swoich ogromnych butach zmęczył się bardzo i płakał, nie mogąc zdążyć za saniami.

Jaguś jakkolwiek również zmęczona, zdawała się na to nic nie zważać i szła wytrwale.

Pietrek wreszcie ustał zupełnie i potknąwszy się upadł twarzą w śnieg i rozpłakał się głośno.

Matus podjął go i aby uspokoić, posadził na sanie tuż przy trumnie, a wyjąwszy z zanadrza spory kawał chleba, rozłamał go na dwie części i dał jedną Pietrkowi, a drugą Jagusi.

Pietrek z chciwością zaczął gryść na wpół zmarznięty chleb i uspokoił się zupełnie.

Od rana nic w ustach nie miał.

Jagusia swój chleb zawinęła we fartuch i szła dalej.

Sanie posuwały się coraz wolniej: woły stawały w zaspach śnieżnych, które tworzyły się na drodze w jednej chwili.

A śnieg padał coraz większy...

Sanie, trumna, Pietrek, obok niej siedzący, wszystko to pokryło się białym całunem.

Wieczór szybko zapadł, drogi nie można było rozpoznać, woły też musiały z niej zboczyć, gdyż uwięzły nagle w zaspie śnieżnej.

Próżne były wysiłki Matusa, aby je ruszyć z miejsca, mordował się z kwadrans, rozkopywał śnieg, oczyszczając drogę.

Była to praca syzyfowa: co oczyścił, to w jednej chwili śnieg zasypywał na nowo.

Stary zatrwożył się nie na żarty.

Widząc, że sam nie da rady, zdecydował się wezwać pomocy ludzi.

Nie dalej jak o ćwierć mili na prawo, powinna była być wieś... trzeba się było do niej dostać koniecznie.

Zawahał się wszakże, gdyż szło mu o dzieci; jakże tu je same zostawić w polu?!...

Nie było jednak nic innego do wyboru, dla tego Matus zwrócił się do dziewczyny:

— Jaguś, ty zostaniesz z Pietrkem na saniach, a ja pójdę do wsi...

—Ano, to i zostanę...

— A nie boisz się?

— Toć tu i matula...

— No to zostańta z Bogiem! powiedział Matus i skierował się na prawo.

Dzieci patrzyły za nim dotąd, póki śnieżna zawieja nie zakryła go przed ich wzrokiem.

Smutno się zrobiło Jagusi, usiadła przy Pietrku i, narzuciwszy na głowę swój z domowego płótna artuch, siedziała cichutko.

Markotno jej było bardzo: wzięła do ręki otrzymany od Matusa chleb, ugryzła z trudem kawałek, lecz jeść nie mogła.

Pietrek ubrany w lichą samodziałową sukmankę zaczął narzekać na zimno.

Jaguś przytuliła go do siebie, okryła fartuchem i chustką zdjętą ze szyji.

Chłopak rozgrzawszy się cokolwiek, uspokoił się i zaczął w objęciach Jagusi drzemać.

Ta siedziała nieruchomo czas jakiś, czuła, że nogi jej wystawione na mroźny wiatr sztywnieją, nie poruszyła się wszakże, aby nie zbudzić Pietrka.

A śnieg wciąż padał i padał...

Nie można było rozpoznać już ani sani, ani wołów, ani trumny z przytulonemi do niej dziećmi...

Wszystko to tworzyło jeden śnieżny pagórek.

A Matus nie powracał...

Grobowa cisza przery ana tylko głuchym szumem wiatru panowała wokoło.

— Matulu, matulu!... dało się słyszeć parę razy żałośne wołanie Jagusi.

Potem wszystko ucichło.

. . . .

Dopiero po upływie kilku godzin Matus z ludźmi zdołał dotrzeć do śnieżnego pagórka, po odgrzebaniu którego znaleziono zamiast jednego trzy trupy.

Dzieci poszły... za matulą!...

S. Kondratowicz.

Cicha łza.

W życiu nieraz chwila bywa,
Gdy cierpienie długo trwa,
Że pomocy z nieba wzywa
Zamiast modłów — cicha łza.

Więc gdy w serce cios uderzy,
Milknie skargi głośny jęk,
W niemym żalu życie bieży,
Z lutni głuchy rwie się dźwięk....

Nikt mych cierpień nie zrozumie,
Prócz Anioła — co je zna;
Nikt nie widzi, gdym w zadumie,
Że w mem oku cicha łza....

Ka.

W STEPIE.

(Dokończenie).

Ale w czarnej, zoranej ziemi nie było nawet korzeni. Noc stepowa zapadła szybko. Jeszcze nie zdążył zgasnąć ostatni promień słońca, kiedy już na ciemnolazurowem niebie zajaśniały gwiazdy, a wokoło nas coraz szczelniej zlewały się szare cienie, zaciemniając niezmierzoną płaszczyznę obejmującego nas stepu...

— Bracia — półgłosem odezwał się „student“ — tam na lewo leży człowiek...

— Człowiek? — z powątpiewaniem zapytał sołdat.

— A cóżby on tam robił?

— Idź i zapytaj. Z pewnością ma chleb, kiedy tak rozłożył się w stepie...

Sołdat popatrzył w stronę, gdzie leżał człowiek i, splunąwszy, rzekł z determinacyą:

— Chodźmy do niego!

Tylko zielone i bystre oczy „studen-

ta“ mogły rozeznać, że ciemna masa, wznosząca się na jakie pięćdziesiąt kroków na lewo od drogi, jest człowiekiem. Biegliśmy do niego, przeskakując bryły oraniny i czuliśmy, jak wzrastająca w nas nadzieja na jedzenie zaostrza bóle głodu. Byliśmy już blisko; — człowiek się nie podnosił.

— A może to nie człowiek — szepnął posępnie sołdat.

Ale niepewność nasza rozwijała się w tej chwili, gdyż masa na ziemi poruszyła się naraz, wyrosła, i zobaczyliśmy, że to — najprawdziwszy, żywy człowiek, który klęcząc, wyciągnął ku nam rękę.

I zawołał do nas głuchym, drżącym głosem:

— Nie przystępuj — bo zastrzelę!

W mglistem powietrzu rozległ się ostry, krótki strzał.

Przystanęliśmy jak na komendę i milczeliśmy kilka sekund, oszołomieni tem wrogiem spotkaniem.

— Plugawiec! — mruknął sołdat.

— Z rewolwerem chodzi... ikrzasta widać ryba... — zauważył „student.“

— Hej! — krzyknął sołdat, widocznie coś postanowiwszy.

Człowiek, nie zmieniając pozycyi, milczał:

— Hej ty! Nie tkniemy cię... daj nam tylko chleba... jeść. Daj, bracie, na miłość Boga!...

Człowiek ciągle milczał.

— Słyszysz? — trzęsąc się ze złości i rozpaczy przemawiał znów sołdat. — Daj chleba. Nie zbliżymy się do ciebie... rzuć nam...

— Dobrze... — wkrótce odpowiedział człowiek.

Gdyby był do nas przemówił: „drodzy bracia moi!“ i w te trzy chrześcijańskie słowa wlał najświętsze uczucia, nie zbudowałby nas tak niemi, jak tem głuchem i krótkiem: „Dobrze!“

— Nie bój się nas, dobry człowiecze — łagodnie i ze słodkim uśmiechem na twarzy przemawiał sołdat, chociaż człowiek nie mógł zobaczyć jego uśmiechu z odległości co najmniej dwudziestu kroków.

— My ludzie spokojni... idziemy do Kubania... Zabrakło nam w drodze pieniędzy, i — już drugą dobę nie jemy...

— Masz! — rzekł nieznajomy, machnąwszy ręką w powietrzu. Czarny kawałek mignął i upadł niedaleko nas na roli. „Student“ rzucił się za nim.

— Masz jeszcze! Jeszcze! Więcej nie mam...

Gdy student pozbierał tę oryginalną jałmużnę, okazało się, że mamy jakie cztery funty czerstwego pszennego chleba. Powolany był ziemią i jak już powiedziałem, czerstwy. chleb sytniejszy od świeżego, mniej w nim wilgoci.

— Tak... tak... i tak! — obdzielał nas sołdat kawałkiem chleba — Czekaj, nierówno! Z twego, trzeba uszczypnąć kawałek, bo dla niego za mało...

Student, nie oponując, poddał się utracie kawałka chleba. Ja go dostałem i włożyłem w usta.

I zacząłem żuć powoli, ledwo wytrzymując konwulsyjne poruszanie się szczęk gotowych kamień rozkruszyć. Odczuwanie skurczów w przewodzie pokarmowym sprawiało mi rozkosz niewypowiedzianą. Kąsek po kąsku, niepamiętnie smaczne, przenikały do wygłodzonego żołądka i zdawało się w tej chwili, że zamieniają się w krew i mózg. Uczucie dziwnej, niemej a ożywiającej radości rozgrzewało serce w miarę wypełniania żołądka, a stan mój ogólny podobny był do jakiegoś pół snu. Zapomniałem o tych przeklętych chwilach chronicznego głodu, zapomniałem także o moich towarzyszach, zatopiony cały w doznawanych rozkoszach.

Skoro jednak zesypałem z dłoni w usta ostatnie kruszki chleba, uczułem, że... śmiertelnie jestem głodny.

— Ten potępieniec pewno dużo jeszcze chleba sobie zostawił, a może i mięso ma jakie — warczał sołdat, siedząc naprzeciwko mnie na ziemi i pocierając rękami żołądek.

— Niezawodnie, chleb nawet miał zapach mięsa... I herbatę ma napewno... — zapewniał „student,“ dodając pocichu:

— Gdyby nie rewolwer...

— Co to za jeden? hę?

— Widocznie także nasz brat.

Siedzieliśmy w zwartej grupie i z ukosa spoglądaliśmy tam, gdzie był nasz dobroczyńca z rewolwerem. Nie dochodził nas ztamtąd żaden odgłos, żaden znak życia.

Noc zbierała dookoła ciemne swoje siły. Martwota panowała w stepie. Słyszeliśmy wzajemnie nasz oddech. Od czasu do czasu rozległ się smętny świst susła... Gwiazdy, żywe kwiaty nieba, płonęły nad nami. Chcieliśmy jeść.

Z dumą wyznaję — nie byłem ani gorszym, ani lepszym od moich przygodnych towarzyszów w tę dziwną trochę noc. Zaproponowałem, żebyśmy poszli do tego człowieka. Nie tkniemy go, ale zjemy mu wszystko, co znajdziemy. Będzie strzelał — niech tam! Z trzech, trafi jednego, jeżeli trafi; a chociaż i trafi, to kula rewolwerowa nie zabije na śmierć.

— Chodźmy! — rzekł, zrywając się, sołdat.

Student podniósł się wolniej od niego.

I poszliśmy, pobiegliśmy niemal. Student trzymał się z tyłu za nami.

— Towarzyszu! — wyzywająco krzyknął sołdat.

W odpowiedzi na to, usłyszeliśmy głuchy pomruk i łoskot śpiesznie odwodzonego kurka. Błysnął ogień, padł strzał.

— Chybił! — radośnie zawołał sołdat, jednym susem przyskakując do człowieka. — No, ja ci tu dam teraz...

„Student“ rzucił się na tobołek.

Nieznajomy upadł z kolan na wznak i rozkładając ręce, charczał...

— Co za licho! — zawołał sołdat, podniósłszy już nogę, ażeby kopnąć człowieka. — Może on do siebie wygarnął? Ty! Hej, ty!... Zastrzelił się, czy co?

— I mięso, i placki jakieś i chleb... dużo, bracia! — cieszył się „student.“

Wyjąłem rewolwer z ręki nieznajomego, który już przestał charczeć i leżał teraz bez ruchu. W bębnie tylko jeden jeszcze był ładunek.

Jedliśmy znowu, jedliśmy w milczeniu. Człowiek leżał i także milczał, nie poruszając ani jednym członkiem. Nie zwracaliśmy na niego uwagi.

— Czy wy to wszystko, bracia moi kochani, jecie doprawdy z głodu? — rozległ się naraz chrypliwy i drżący głos.

Drgnęliśmy wszyscy. „Student“ zakrztusił się nawet, i nachyliwszy się ku ziemi, zaczął kaszlać.

Sołdat, przeżuwając kawał mięsa, zaklął.

— Ty psia-duszo! Skórę z ciebie ściągniemy? czy co? Na dyabła nam się zdała! Plugawiec!... Uzbroił się i strzela do ludzi! Ty potępieńcze, ty...

Klął i jadł, wskutek czego przekleństwa jego traciły na dobitności i sile...

— Poczekaj, jak zjemy, to się porachujemy z tobą! — złowrogo odezwał się „student.“

Na to wśród ciszy nocnej, ku naszemu przerażeniu, rozległ się żałosny lament.

— Bracia... czy ja wiedziałem? Strzelałem... bo się boję. Idę z Nowego Atonu... do Smoleńskiej gubernii... o, och, Boże!... Febra trzęsie, jak tylko słońce zajdzie — bieda straszna... Przed febrą uciekłem z Atonu... miałem tam robotę... stolarz jestem... W domu żona... dwie córeczki... czwarty rok ich już nie widziałem... Bracia! Zjedzcie wszystko...

— Zjemy, bez zapraszania!... — upewniał „student.“

— Boże! gdybym był wiedział, że wy spokojni, dobrzy ludzie... czyż był-

bym strzelał? A tu, bracia, step, noc... cóż ja winien? hę?

Mówił i płakał, a raczej wydawał z siebie przeciągłe, przejmujące wycie.

— A to zawodzi! — pogardliwie rzekł sołdat.

— Z pewnością ma przy sobie pieniądze — wtrącił „student.“

Sołdat łypnął oczami, popatrzył na niego i uśmiechnął się.

— Jaki ty domyślny... Ot co, rozpalmy ognisko i spać.

— A on? — zapytał „student.“

— Pal go dyabli. Czy mamy go upiec, czy co?

— Wypadałoby — kiwnął „student“ swoją szpiczastą głową.

Poszliśmy po uzbierane suszki, porzucone tam, gdzie nas stolarz zatrzymał swojem groźnem wezwaniem, ułożyliśmy stos i zasiedliśmy niebawem koło ogniska, płonącego spokojnie w bezwietrzną noc i oświetlającego niewielką, zajętą przez nas przestrzeń. Zbierało nam się na sen, chociaż moglibyśmy zjeść jeszcze jedną wieczerzę.

— Bracia! — odezwał się stolarz. Leżał o trzy kroki od nas.

— A co tam? — zapytał sołdat.

— Czy mogę do was... do ognia? Śmierć moja się zbliża... wszystkie kości mnie łamią... Boże! nie zajdę ja widać do domu...

— Leż tutaj — zadecydował „student“.

Stolarz powoli, jakby się bał postradać rękę, albo nogę, przywlókł się do ogniska. Był to wysoki i strasznie chudy człowiek; wszystko na nim jakoś okropnie wisiało, a wielkie, mętne oczy, zdradzały cierpienie. Twarz wykrzywiona, nawet przy świetle ogniska miała żółto-ziemisty trupi kolor. Drżał cały i wzbudzał litość. Wyciągając do ognia swoje długie, chude ręce, pocierał powykrzywiane palce, których stawy gięły się z trudnością, leniwie. Przykro było patrzeć na niego.

— Piechotą idziesz? ze skąpstwa, co? — ponuro zapytał sołdat.

— Poradzili mi.. nie jedź wodą.. idź przez Krym... powietrze. I oto nie mogę iść... umieram, bracia! Umrę sam w stepie... ptaki rozszarpią i nikt się nie dowie... Żona.... dzieci będą czekać — pisałem do nich... a moje kości wody stepowe spłuczą... Boże, Boże!

Zawodził tęsknym głosem zranionego wilka.

— Czego wyjesz?... — wybuchnął sołdat, skacząc na równe nogi. Czemu nie dajesz ludziom spokoju? Zdychasz? to zdychaj, a milcz!... Komuś ty potrzebny?

— Daj mu po łbie — radził „student“.

— Kładźmy się spać, — powiedziałem — A ty, jeśli chcesz grzać się przy ogniu, to nie wyj...

— Słyszysz? — groźnie rzekł sołdat. — No, zrozumiałeś? Cóż ty sobie myślisz, że my ciebie żałować będziemy i ciągnąć za sobą za to, żeś na nas chlebem rzucał i kule na nas puszczał?

Zamilkł po tej perorze — i wyciągnął się na ziemi.

„Student“ już leżał. Ja się także położyłem. Nastraszony stolarz zwinął się w kłębek i wpatrywał się w ogień. Leżałem po prawej stronie od niego i słyszałem, jak dzwonił zębami. „Student“ ułożył się po lewej stronie — i, zdaje się, zasnął odrazu. Sołdat leżał z założonemi pod głowę rękami i patrzył w niebo.

— Co za noc, hę? Tyle gwiazd... Parno... obrócił się do mnie po pewnym czasie — Takie niebo, to kołdra; a nie niebo. Lubię, bracie, to włóczęgowskie życie. Chłodno i głodno, ale swoboda... Choćbyś sobie głowę odkąsił, — nikt ci słowa nie może powiedzieć... Dobrze mi... Wygłodziłem się przez te dni, wycierpiałem... a ot teraz leżę, patrzę w niebo... Gwiazdy mrugają do mnie... zupełnie jakby mi chciały powiedzieć, — to nic, Łakutin... wiesz, chodź po świecie i nie poddawaj się nikomu.... I dobrze mi na sercu... A ty... jak ci tam? ej, stolarz! Ty się nie gniewaj na mnie i nie bój się niczego... Żeśmy twój chleb zjedli, to nic — ty miałeś chleb, a myśmy go nie mieli, więc zjedliśmy twój... A ty, dziki człowiecze, kule puszczasz... Czy ty nie wiesz, że kulą możesz krzywdę człowiekowi wyrządzić? Strasznie byłem zły na ciebie — i gdybyś był nie upadł, zdmuchnąłbym ja cię, bratku, za twoje zuchwalstwo. A co do chleba — dojdziesz jutro do Perekopu i sam sobie kupisz... Pieniądze masz... ja wiem... Dawnoś złapał tę febrę?

Długo jeszcze brzmiał mi w uszach bas sołdata i drżący głos chorego stolarza. Noc — ciemna, prawie czarna, spuszczała się coraz niżej na ziemię a do piersi wciskało się świeże, zdrowe powietrze...

Od ogniska rozchodziło się równe światło i ożywcze ciepło... Kleiły się oczy, a przed niemi, w pół śnie, unosiło się coś uspokajającego i rozgrzeszającego...

. . . .

— Wstawaj- Prędko! Idziemy!

Z uczuciem trwogi otworzyłem oczy i raźno skoczyłem na nogi, do czego dopomógł mi sołdat, szarpnąwszy mię silnie za ramię.

— Prędko! Chodź!

Twarz jego była surowa i przestraszona. Rozejrzałem się dokoła. Wschodzące słońce rzucało już różowe promienie na martwą i siną twarz stolarza. Usta miał otwarte; oczy wystąpiły silnie z zagłębień i patrzyły szklanym, przerażonym wzrokiem. Całe ubranie na piersiach miał poszarpane i leżał w nienaturalnie powykręcanej pozycyi.

„Studenta“ nie było...

— Ot, zapatrzył się! Chodź, mówię! — nalegał natarczywie sołdat, ciągnąc mię za rękę.

— Umarł? — zapytałem, trzęsąc się z rannego chłodu.

— Pewnie. Jakby ciebie kto udusił, to także-byś umarł — odpowiedział sołdat.

— Jego? „student“? — zawołałem.

— A kóż? Może ty? Ja? Ot uczony! Gładko się zwinął z człowiekiem... i towarzyszów swoich wplótł w kabałę... Gdyby mi to był wczoraj powiedział, byłbym go zabił. Zaiste bez namysłu!.. Trach, kułakiem w skroń... i niema na świecie jednego łotra! Wiesz ty, co on nam zrobił? Teraz musimy tak iść, żeby ludzkie oko nie zobaczyło nas w stepie. Rozumiesz? Stolarza dzisiaj znajdą i zobaczą — uduszony i zrabowany. Będą śledzić... skąd idzie, gdzie nocował? No i złapią nas... Chociaż, ciśnij jak chcesz — niema nic.. A rewolwer mam za pazuchą!

— Rzuć go.

— Rzucić? — odparł w zamyśleniu... To cenna rzecz... A może nas jeszcze nie złapią... Nie, nie rzucę... Wart trzy ruble. Jest w nim kula... Jakbym ja tę kulę naszemu małemu towarzyszowi puścił w ucho! Ile też on, nędznik, pieniędzy zagrabił, hę? Potępieniec!

— Ot masz i córki stolarza — rzekłem.

— Córki? Jakie? A, tego... No, wyrosną, a za mąż, to nie za nas wyjdą. Niema co i mówić o nich... Chodźmyż, bracie, prędzej... Dokąd iść?

— Nie wiem... Wszystko jedno.

— I ja nie wiem, i wiem, że wszystko jedno. Chodźmy na prawo — tam powinno być morze.

Poszliśmy na prawo.

Spojrzałem za siebie. Daleko od nas w stepie wznosił się ciemny pagórek, a nad nim świeciło słońce.

— Patrzysz, czy nie zmartwychwstał? Nie bój się, nie wstanie nas doganiać. Uczony, sprytny chłopiec... gruntownie się sprawił... A to ci towarzysz! Dobrze nas ubrał! Ej!... psują się ludzie, z roku na rok coraz bardziej się psują! — zawyrokował smutno sołdat.

Step milczący i pusty, zalany cały

świeżem słońcem poranku, roztaczał się dokoła nas i łączył na horyzoncie z niebem, takiem jasnem, takiem dobrem i szczerem, że każdy brudny i nikczemny czyn zdawał się niemożliwym wśród wielkiego przestworza tej swobodnej równiny, nakrytej szafirową kopułą niebios.

— Jeść się chce, bracie! — skarżył się mój towarzysz.

...A co my dzisiaj jeść będziemy, gdzie i jak?

. . . .

Na tem gawędziarz — mój sąsiad w szpitalu — zakończył swoją opowieść, dodając:

— Ot, i wszystko. Zaprzyjaźniłem się bardzo z tym sołdatem i doszliśmy razem do Karskiego obwodu. Dobry to był i doświadczony, typowy włóczęga — bosak. Poważałem go. Do samej Azyi Mniejszej szliśmy razem, a tam, straciliśmy się z oczu...

— Wspomina pan kiedy o stolarzu? — zapytałem.

— Jak pan widzi, a raczej, jak pan słyszy.

— I nic?

Uśmiechnął się.

— A cóż ja mogę odczuwać? Ja przecież nie winienem temu, co się z nim stało, tak samo, jak pan nie winien, co się ze mną stało... I nikt niczemu nie winien, chociaż my wszyscy jednacy...

Maksym Gorkij.

KRONIKA.

Każdy szanujący się Poznańczyk bywa po południu w „Domu Przemysłowym“ na kawie i pogawędce. Między 4-tą a 6-tą znajdziesz tam całe „towarzystwo.“

Gwarno i wesoło. Powoli błyskają jedna po drugiej lampy. Lokal się zapełnia. Atmosfera przesiąknięta dymem papierosów, zapachem kawy i — najświeższemi nowinkami. — Są stare ciocie i najświeższe dzienniki; są młode panny i stare ciastka.

Do mnie podchodzi młody chłopiec, mój znajomy — prawie przyjaciel. Bardzo sympatyczny przedstawiciel młodzieży ślęczącej nad Homerem i Sallustem. Trąca mnie delikatnie w bok.

— Widzi pan tę pannę, co teraz wchodzi — tam, patrz pan; ta blondynka z matką.

— Bardzo piękna, choć na ten dystans nie widzę. — Lecz cóż takiego?

— To moja cicha miłość!

To zwierzenie jest rozczulające.

— No patrzcie państwo — ktoby to myślał, że pan się już kocha.

— Napisałem nawet wiersz z tego powodu.

— Bój się pan Boga tak wcześnie, do wiosny przecież jeszcze tak daleko!

Mój młody towarzysz począł szukać między papierami w portfelu. Przeczułem co to znaczy. — Chciałem już zawołać „płacić.“ Nagle zatrzymał mnie, ująwszy za rękę.

— Mam — brzmiało to jak archimedesowe heureka. — I bezpośrednio począł czytać:

Ledwie, że twoje znam nazwisko.
Nigdym nie bawił cię rozmową,
A jednak jesteś mi tak blizką,
I myśli moich tyś królową!

— Koniec? — Wie pan bez przesady to wielka zaleta, że — krótkie. — Goethe mawiał — ich habe keine Zeit kurz zu schreiben. — Pan widać ma bardzo wiele czasu. Tak, tak to bardzo ładne.

— No i ten pan Quis z „Pracy“ śmiał twierdzić, że Poznań to Beocya. A może pan należy do tych zapoznanych odsuniętych od stołu pańskiego?

— „Dziennik“ wolny, zawołał w tej chwili pikolo i wręczył mi znany organ opinii publicznej.

Czytanie dzienników rozpoczynam zawsze od „Wiadomości miejscowych.“ Jest to jedno z moich złych przyzwyczajeń. „Hodowla miernot“ — aha, replika na wywody Quisa. A dalej „Artysta malarz.“ — Co to jest? Podskoczyłem na krześle. Słuchajcie państwo tego wypracowania na temat artysta malarz.... artysta to jest człowiek całkiem (sic) oddany sztuce i nie szukający po za nią zadowolenia (!) swej moralnej istoty. — Takim gościem jest w murach przemysłowego grodu artysta-malarz p. Stokłosiński i t. d.

Wspaniały ten wstęp zawierający określenie wyrazu „artysta“ przypomina mi utwór jakiejś panienki z niższych klas pensyi. Temat był „Jan Kochanowski,“ opracowanie zaś brzmiało:

— Poeta jest to taki człowiek, który nie robi w ten czas kiedy musi, lecz kiedy mu się chce. — Takim poetą był Jan Kochanowski. Miał sześcioro dzieci i nie wychodził nigdy w pole, tylko siadał pod lipką. Nieszczęście swe opisał w trenach, oprócz tego napisał wiele weselszych rzeczy, jak Kto się w opiekę i t. d.

Ale wróćmy do owej pysznej notatki o p. Stokłosińskim. Rzeczywiście niedźwiedzią ktoś wyświadczył przysługę. Dowiadujemy się bowiem w dalszym ciągu, że p. Stokłosiński a Pochwalski to wprawdzie jedno i to samo. Następuje dalej stanowcze wyrzeknięcie się modernizmu i wszelkich złych spraw jego; a w końcu zupełnie nie stósowna chęć ośmieszenia osób ogólnie znanych i w życiu społecznem zasłużonych. Co bowiem pomyśli sobie ktośkolwiek w Krakowie, Lwowie lub Warszawie o takich kwiatkach nonsensu: Tu sędziwy patron Jackowski (mowa o portretach) z historyczną głową (co to za nowy rodzaj głów?) z której jakby widniały dzieje wielkopolskiej krainy, tu myśląca postać dr. Jerzykowskiego, z której bije charakter szczerego patryoty (ciekawą rzeczą jak to wyraził p. Stokłosiński na obrazie? Chyba na wzór obrazów po starych klasztorach namalował wychodzące z ust litery).

W tym guście ogłoszenie to idzie dalej. Zakończenie naturalnie odpowiednie.

— Mieszkanie: ul. Fryderykowska Nr. 11, II. piętro.

Tak — trzeba przyznać. Quis miał wiele racyi!!

Nagórny.

Obszerny bardzo początek tej powieści — 18 wielkich arkuszy „Pracy“ — dostarczymy nowym abonentom bezpłatnie.

Tak obszerny początek tej nader pięknej powieści przewyższa wartość ćwierćrocznej przedpłaty na „Pracę“, każdy więc nowy abonent powinien korzystać skwapliwie z niezwykłej oferty.

Na franko prosimy nadesłać 20 fenygów w znaczkach pocztowych.

Komu zależy na punktualnem regularnem otrzymywaniu „Pracy“, niech zamówi „Pracę“ na poczcie. Jest to najwygodniej i najlepiej.

Nadzwyczajne piękne premium,

Każdy z Czytelników, który nam zjedna **trzech nowych abonentów** i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako premium za nadesłaniem 50 fenygów w znaczkach pocztowych na porto

kompletne dzieła Mickiewicza w 4 tomach w pięknej oprawie z wyzłoconym grzbietem (**najnowsze wydanie**).

Kto z Czytelników chce te książki od nas kupić, ten niech nadeśle nam 2 marki na książki oraz 50 fenygów na portoryum, razem 2 marki 50 fen., a otrzyma odwrotnie ***kompletne dzieła Mickiewicza w 4 tomach*** za bezcen.

Każdy z Czytelników, który nam zjedna **jednego nowego abonenta** i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako

premium

***piękny obraz historyczny w kolorach**, oraz zajmującą książkę powieściową* za nadesłaniem 10 cio fenygowego znaczka pocztowego na porto.

Jeszcze wciąż można zapisywać

„Czytelnię Polską“

na bieżący kwartał.

„CZYTELNIA POLSKA“ zapisana jest na poczcie w spisie gazet na rok 1903 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 13.“

Abonament „CZYTELNI POLSKIEJ“ wynosi kwartalnie

60 fen.

W 44-tym zeszycie

„Czytelni Polskiej“

rozpoczęliśmy druk pięknej, interesującej powieści, napisanej przez J. A. Łukaszkiewicza p. t.

„Szczęście tylko w Ojczyźnie.“

Michałek Skwarek, bednarz z zawodu, pracuje w Wiedniu, gdzie mu się dobrze powodzi, ale tęskni za Ojczyzną, za krajem i powraca do gniazda rodzinnego i tam zakłada warsztat.

„Widzisz jak pracuje niezmordowanie statek i sternik, aby zawinąć do przystani, gdzie znajdą odpoczynek. Taką przystanią dla ciebie kraj rodzinny i własny warsztat. Pracuj więc cierpliwie, niezmordowanie, aby dobić się do celu. Choćby przeszkody rozmaite stawały ci w poprzek, zwalcz je i wytrwale dąż do przystani — do Ojczyzny, do Polski najdroższej.“

Słowa powyższe wyjęte z powieści świadczą najlepiej o pięknej jej treści.

Początek powieści p. t.

„Szczęście tylko w Ojczyźnie“

otrzyma każdy nowo przybyły abonent gratis, jeżeli nam nadeśle na dowód kwit pocztowy abonamentowy.

Ze względu na rozpoczęcie druku powyższej powieści zachęcamy Czytelników i Przyjaciół naszych do najliczniejszego zapisywania sobie na poczcie i w naszej ekspedycyi „Czytelni Polskiej.“

Kwity pocztowe na „Pracę“ na miesiące listopad i grudzień oraz na „Czytelnię“ na bieżący kwartał zamieszczone są na osobnej karcie pod okładką

Wiadomości.

— ***Dobra Grylewskie*** z przyległościami około 5000 mórg znakomitej ziemi, w powiecie wągrowieckim z wspaniałą rezydencyą uroczo nad jeziorem położoną, oraz z wielką parową gorzelnią, parowym młynem, cegielnią itd., która to majętność od p. hrabiego Potulickiego przeszła co dopiero na własność Domu bankowo-komisowego „*Drwęski & Langner w Poznaniu*“, już sprzedane zostały dalej i to w całości.

Nowym nabywcą jest w szerokich kołach zaszczytnie znany obywatel p. Jan Komendziński z Poznania.

Wiadomo, że jako jeden z głównych akcyonaryuszy Domu przemysłowego w Poznaniu uratował p. Komendziński młodą tę instytucyą, która przeważnie jego zabiegom i osobistym wpływom zawdzięcza, że stała się własnością społeczeństwa i oparta na silniejszych podstawach ma jaśniejszą przyszłość przed sobą.

Dzięki rzeczywistej inteligencyi, skrzętnej i wytrwałej pracy, doszedłszy do znacznej fortuny, p. Komendziński nabył teraz znaczny i piękny majątek ziemski i jako obywatel, który zawsze służył sprawie polskiej, daje wszelką rękojmię, iż dobra Grylewskie otoczone dookoła przez komisyą kolonizacyjną, nie przejdą w ręce naszych wrogów.

Niechajby inni poszli w ślady p. K., gdyż ziemia jest podstawą naszego bytu narodowego.

Nowemu nabywcy: „Szczęść Boże!“

— **Portrety.** W handlu księgarskim i składach materyałów piśmiennych ukazało się wydanie 6-ciu medalionowych portretów. Mickiewicza, Słowackiego, Chopina, Moniuszki, Sienkiewicza i Paderewskiego. Są to podobizny wykonane na papierze kolorowane, naśladujące portrety na porcelanie i tak utrwalone, iż kurz można zmywać zwilżoną ściereczką. Nizka cena tych portretów, 50 fen., powinna je spopularyzować, w miarę powodzenia bowiem tej próby wydane będą nowe serye podobizn poetów, artystów itp. Główny skład na Niemcy mają pp. Rzepecki i Święcicki w Poznaniu Piekary 7, do których panowie księgarze i właściciele składów galanteryjnych zechcą się zgłaszać w razie zapotrzebowania.

— **Na Dzień zaduszny** poleca wielki wybór wieńców, krzyżów itd., oraz wieńce, bukiety i dekoracye na wszelkie uroczystości p. *Jan Kabat*, ogrodnik, w składach przy ulicy Półwiejskiej nr. 7 i przy ulicy św. Marcina nr. 6.

— **Poświęcenie** Dnia 20-go z. m. odbyło się poświęcenie nowo założonego handlu żelaza pod firmą: *A. Baranowski i Sp.* przy narożniku Starego Rynku i Wodnej ulicy. Aktu uroczystego dokonał *ks. Drygas* z Łodzi, odprawiwszy poprzednio nabożeństwo w kościele Farnym na intencyą nowego przedsiębiorstwa. Wspólnicy, znani wśród obywatelstwa na-

szego jako prawi i rutynowani kupcy, poprowadzą interes umiejętnie, a Pan Bóg im pobłogosławi, bo z Bogiem zaczęli.

— **Strzelno.** W mieście naszem jest bardzo pożądany tokarz. Bliższych wiadomości udzieli cechmistrz stolarzy p. I. Kornaszewski.

Radosną nowiną dzielę się jednocześnie z czytelnikami „Pracy", bo oto 2 nowych przemysłowców wykupiło domostwa z rąk obcych i to pp. Noskowski i Springer. Szczęść im Boże i daj nam więcej takich!

— **Września** 13. 10. 03. W tutejszym kościele parafialnym pobłogosławił ks. proboszcz Jezierski z Kunowa, siostrzeniec panny młodej, w asystencyi ks. proboszcza Łabędzkiego i księdza Manna związek małżeński pomiędzy panną Weroniką Sroczyńską a p. Feliksem Wysockim z Pleszewa. Gości przyjmowali krewni panny młodej pp. Bolesławowstwo Samolewscy z iście staropolską gościnnością.

Telegramów nadeszło przeszło 80 i to przeważnie kościuszkowskich.

Nowożeńcom Szczęść Boże!

— **Żnin.** Na kościół w Żninie złożyli w dalszym ciągu pp.: Szóstak z Reńska, J. Ginter z Żornia, J. Otto z Włoszakowic, zebrane na weselu u Siudy w Żarczynie przez włódarza Palkę z Smarzykowa, J. Ziółkowski z Juńcewa po 3 m., K. Fabicki z Gorzyc, X. prob. Kurzawski z Pakości, F. Wojtasik z Międzyrzecza po 5 m., M. Rauch z Chełmży 10 m., J. Bronicka z Słabencinka, A. Płazalski z Żnina po 4 m., J. Algusiewicz z M. Lubinia, F. Karólczak z Król. Polskiego, W. i K. Karólczakowie z Westfalii po 2 m., M. Karólczak z Żnina 1 m., N. N. z Leszna 1 m. 50 fen., za pośrednictwem A. Kruszki z Panigrodza 13 m., a mianowicie Kruszka 2 m. 20 f., M. Chałas, Maciej Chałas, Szopiński, Janowski, Chełminiak, Lorencki, Berdych, Kalisz, Nowak, Jacek, Szałkowski po 1 m., Szcześniak 50 fen., Skorczewski 30 fen., za pośrednictwem „Przewodnika katolickiego" 6 m. 80 f.

Serdeczne „Bóg zapłać!" Wszystkich tych, którzy dotychczas żadnej ofiary nie złożyli, chociaż są w stanie złożyć, proszę uprzejmie o przysłanie chociażby małej tylko składki; za każdy grosz będziemy szczerze wdzięczni.

X. Władysław Jasiński,
administrator.

— **Grudziądz.** Pierwsza część tyle razy już odraczanych głośnych procesów politycznych przeciwko posłowi p. Kulerskiemu, właścicielowi „Gazety grudziądzkiej", zakończyła się dnia 17-go z. m. przed izbą karną tutejszego sądu ziemiańskiego.

P. Kulerskiemu zarzucał oskarżyciel publiczny w ostrej przemowie „podburzanie do gwałtów jednej części ludności przeciwko drugiej" i to przez rozpowszechnianie niebezpiecznych, zdaniem jego książek o wrogiej dla państwa niemieckiego tendencyi, zawierających pomiędzy innemi ustępy z historyi polskiej oraz zakazane pieśni polskie. W końcu maluje prokurator p. Kulerskiego, jako nadzwyczaj niebezpiecznego agitatora polskiego i wnosi o czteromiesięczną karę więzienną, oraz o karę pieniężną w wysokości 500 marek. Obrońca oskarżonego, adwokat Mielcarzewicz z Torunia, w dłuższej mowie protestuje uroczyście przeciwko wywodom prokuratora, przedstawiając przytem postępowanie sfer miarodawczych wobec Polaków we właściwem świetle.

Sąd po długiej naradzie ogłasza o godzinie 10 wieczorem wyrok, odrzucający wniosek prokuratora co do kary czterech miesięcy więzienia, a skazujący p. Kulerskiego na karę pieniężną w wysokości czterystu marek.

Proces o mowy polityczne, wygłaszane na wiecach ludowych przez p. Kulerskiego odbył się w czwartek dnia 22 z. m. Prokurator wniósł o 8 miesięcy więzienia za znieważenie urządzeń państwowych (Verächtlichmachung von Staatseinrichtungen) i obrazę nauczycieli pruskich. Sąd skazał p. Kulerskiego na miesiąc więzienia za obrazę nauczycieli pruskich, nie uznając, iż znieważył urządzenia państwowe. Wyrok ogłoszono o godzinie 11 wieczorem. I w tym procesie bronił p. K. adwokat p. Mielcarzewicz.

Zmarli.

† Ś. p. *Emilian Jasiński*, artysta-malarz, dnia 19-go z. m. w Montowie (Prusy Zach.)

† Ś. p. *z Pomorskich Józefowa Bułakowska*, dnia 19-go z. m. w Wągrówcu.

† Ś. p. *Teobald Klepaczewski*, syndyk justitiarus i radzca konsystorza jeneralnego arcybiskupiego w Gnieźnie, członek Wydziału Związku Kół śpiewackich w W. Ks. Poznańskiem, dnia 20-go z. m. w 81 roku życia w Gnieźnie.

† Ś. p. *Franciszek Kazowski*, kupiec, dnia 22-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 18.

† Ś. p. *Emilia z Wesołowskich Ziółkowska*, dnia 22 z. m. w Poznaniu w 70 roku życia.

Ruch w Towarzystwach.

Kilonia. Towarzystwo polsko-katolickie św. Wojciecha w Kilonii (Kiel), poleca swą opiekę nad przybywającymi tu dotąd Rodakami. Posiedzenia Towarzystwa odbywają się 2 razy w miesiącu i to w pierwszą niedzielę po 1-szym i w pierwszą po 15-tym, wieczorem o godzinie 7-mej w domu katolickim (Kath. Vereinshaus Mulinsstr. 72.)

Zarazem prosimy tych rodziców, których dzieci tu dotąd przychodzą do pracy lub też do wojska, aby im wskazali nasze Towarzystwo, które ich zepsuciu zapobiedz może, ponieważ im tu wielkie niebezpieczeństwo grozi.

Kubczak,
zastępca sekretarza.

Od Redakcyi.

Panu Ludwikowi M. w Poznaniu. — Nadesłane wierszyki są powszechnie znane, dlatego nie zamieścimy.

Panu Mikołajowi W. w A. — Najserdeczniej dziękujemy za nadesłane wierszowane wyrazy uznania tak dla nas jak też dla wydawnictwa „Pracy." Daj nam Boże jak najwięcej takich Polaków-Wiarusów, a będzie nam wszystkim lepiej.

Panu Antoniemu K. w W. — W tej sprawie radzimy udać się do adwokata.

Panu S. W. w K. —

....I teraz w żalu me żagle rozwinę,
Się rzucę w rozhukanych wir fali,
Nie wiem, czy żyć będę, czy w nurtach zaginę,
Lecz czuję, że żar w piersiach mnie spali....

Istotnie, jeżeli pisanie wierszy może Szan. Pana przyprowadzić do tak fatalnych skutków, lepiej dać pokój poezyi, a wtenczas i „wir rozhukanych fali" przestanie Panu zagrażać i „żar w piersiach" zniknie. Tak, lepiej jest nie zwiększać liczby wierszokletów, którzy nas nieustannie częstują wybujałemi płodami swej koszlawej fantazyi.

Panu Feliksowi S. w Raszkowie. — Wiersz niestósowny do „Pracy" Dziękujemy za łaskawą pamięć. W powieści i nowele jesteśmy zaopatrzeni. O treściwą korespondencyą prosimy. Wypożyczalni książek nie mamy.

Panu Fr. Koz.... we Wrześni. — „Miło mi przesłać wyrazy uznania oraz serdecznej zachęty nadal, ponieważ będąc stałym abonentem „Pracy", widzę jak wiele dobrego działa wśród społeczeństwa polskiego." — Za powyższe słowa uznania dziękując najserdeczniej, oświadczamy, że nadal tą samą drogą kroczyć będziemy *„Usque ad finem!"*

Pani Bercie B. w Roździeniu. (G. S.) — Z powodu nawału pracy w naszej drukarni całkowite wydanie powieści „Męczennica w koronie" w osobnej książce znacznie się opóźni.

Nadesłane.

Do dzisiejszego numeru dołączamy formularze na pieniężne przekazy pocztowe, dotyczące *królewieckiej loteryi pieniężnej,* której ciągnienie odbywać się będzie w dniach 10-go i 11-go b. m. Przekazy te wysyła przez państwo koncesyonowany pobórca loteryjny p. *Johann's Thedens w Lubece.*

Dział kobiecy.




Instynkt matki.

Instynkt matki jest cudownem uczuciem. Wśród uczuć ludzkich jest to brylant pierwszej wody, za którego cenę matka kupuje swemu dziecku zdrowie, piękność, rozum, charakter, szczęście, a równie często brak zdrowia, brak woli, upośledzenie. Bo każdy czyn matki względem dziecka jest napiętnowany jej macierzyńskim instynktem. Jeżeli to będzie instynkt światły i zdrowy matka przeleje ze siebie w dziecko wszystko najlepsze, będzie z zaparciem się czuwała nad dalszym jego losem i w każdej chwili trudnej stanie mu jako najlepsza przyjaciółka. Gdy jednak instynkt macierzyński występuje jako ślepa, żywiołowa namiętność, wówczas niesie ze sobą złe i dobre naprzemian; pragnie dobra dziecka, ale nie wie, gdzie go szukać, dba o dziecko, ale często przygniata je swoim egoizmem, lubuje się w okazywaniu zewnętrznych oznak przywiązania, a jest ślepym na potrzeby dziecka i na zapewnienie mu szczęśliwszej przyszłości.

Dawniej mniemano, iż dosyć być matką, aby potrafić swą latorośl zrozumieć i poprowadzić — przekonano się ednak, że silne uczucie bardzo często zaślepia, pozbawiając matki równowagi w postępowaniu ze swemi własnemi dziećmi. Matka może lepiej odczuć, czego w danej chwili jej dziecko najwięcej potrzebuje, jak odczuwa smutek, boleść lub gniew, ale trudno jej jest bezstronnie zastosować najlepszy sposób postępowania w każdej okoliczności. Matka ze swem dzieckiem smuci się, gdy mu jest najpotrzebniejsze słowo wesołej zachęty; matkę wstrząśnie do głębi i oburzy jakiś postępek dziecka, n. p. kłamstwo lub mała kradzież, sroży się na niego, stosowuje kary, straszy stryczkiem; tymczasem wychowawca, który patrzył na całe pokolenia dzieci, wie, że taki fakt bywa mało znaczącym, jeżeli mu się nie nada zbytecznego znaczenia w oczach samego dziecka, a raczej pozwoli zatrzeć cały występek jakimś czynem szlachetnym. Jakże często w starciu z innemi dziećmi lub władzą szkolną dziecko znajduje bezkrytyczne poparcie u matki bez



Nowości mody jesienne. Ubranie według modelu paryzkiego.

względu na to, czy ma słuszność czy też nie. Tak się dzieje, gdzie matki starają się współczuć z dziećmi i niemi kierować. Stokroć gorzej wygląda instynkt macierzyński, gdy dziecko staje się dla matki własnością, objętą w posiadanie dzięki prawom jej miłości. W takich wypadkach matka obcałowuje i pieści dziecko z rozkoszą, a nie myśli, że należy mu umyć zabrudzonego buziaka; stroi dziecko, bawi, bo to jej samej przynosi zadowolenie, a nie spostrzega, że może to stworzonko potrzebuje poważniejszego zajęcia. Bywają również matki, które posługują się swemi dziećmi, jak rzeczami domowego użytku, bez względu na szkodę dla zdrowia i całej przyszłości. Taka ofiara instynktu rodzicielskiego dźwiga młodsze dzieci dzień cały i obrywa się, spełnia przy domu różne posługi, gdy należy być w szkole, wreszcie wychodzi na zarobek, gdy jeszcze nie wyrosła nale życie. Choćby to wszystko było z widoczną dla dziecka szkodą, instynkt nic mówi nic, a tylko w razie postronnej krytyki woła obrażony: „Wszakci to moje.“ Matka, dziecko kocha i dziecko matkę, to wzajemne przywiązanie uważane jest jako skuteczny plaster na wszelkie rany zadawane ręką macierzyńską. Matce wolno dziecko skatować, może za to samo przestępstwo raz zlekka trącić, drugi raz zamknąć bez kolacyi do ciemnego pokoju. Matka nie potrzebuje się krępować wobec własnego dziecka, niech więc na nie padają niewinne szturchańce, kułaki, przekleństwa, ile razy coś rozdrażni nerwy kobiety. Matka może dziecko wyśmiać nielitościwie, może mu ciągle wymawiać w oczy, że jest głupim, nieznośnym dzieciakiem — wszakże dziecko za chwilę otrzyma kolacyę z tej samej ręki, zapomni, co było źle, a będzie pamiętało z wdzięcznością dobre jadło. Tak nie raz myślą, jeżeli wogóle myślą niektóre matki i wymagają potem od swych synów szacunku, przywiązania, opieki na starość. Tymczasem, tak się jakoś dzieje, że synowie zapominają o strawie, a pamiętają nielitościwe wyzwiska, niesłuszne kary i niespieszno im z pomocą starym rodzicom........

W tak rozmaity sposób może błądzić ślepy instynkt matki, a pomimo, że instynkt ten bywa zbyt często brylantem nieoszlifowanym, nie traci on jednak swej wartości i może stać się nieoszacowanym, jeżeli połączy się z oświatą. Dlatego to jak najlepsze wychowanie jest potrzebne każdej kobiecie, choćby ona całe swe życie spędzić miała w ożywczem cieple domowego ogniska.

Helena Piotrowska.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Polska kopalnia złota.

W Ameryce Północnej tworzy się spółka akcyjna, przeważnie polska, która pod kierownictwem znanego inżyniera, p. Modesta Maryańskiego, zamierza eksploatować kopalnię złota, położoną w Kalifornii, nad rzeką Sakramento, a zwaną przez Amerykanów także kopalnią „Original Quartz Hill Gold Mine."

P. Maryański ogłasza w „Dzienniku Chicagoskim," że otwarcie tej wielkiej a znaczne zyski przynieść mającej kopalni, niebawem nastąpi. Większa część potrzebnego na ten cel kapitału, już została podpisaną i zebraną, a i zebranie reszty jest podobno zapewnione.

Widoki i podstawę tego pierwszego, o ile się nie mylimy, w tym rodzaju przedsiębiorstwa polskiego, p. Modest Maryański tak opisuje:

„Bogactwo tej kopalni stwierdzone zostało przez inżynierów górniczych, dalej przez inżyniera górniczego W. W. Aleksandra, a ostatecznie przez inżyniera i rzeczoznawcę górniczego C. A. Luckhardta z San Francisco, którego w roku 1893 komisya, składająca się z ś. p. dra Midowicza, pp. J. F. Smulskiego i A. Kowalskiego, w celu sprawdzenia i potwierdzenia prawdziwości i rzetelności oceny tej kopalni zaangażowała..

Próby podjęte i przeprowadzone na wielką skalę w dziesięcio-stemplowym młynie w ciągu półtora roku nie tylko potwierdziły zdanie trzech ekspertów, ale w rezultatach swoich przewyższyły ich oczekiwania.

Z samego grzbietu złotodajnej góry, wystawionej na wpływy atmosferyczne, gdzie wiele złota skutkiem tego się wykruszyło lub wyługowało, wydobyto kruszczu złotego w łącznej wartości za 50,560 dolarów. Z tego materyału część pewna złota jednak straconą została, skutkiem niedostatecznych urządzeń, spowodowanych brakiem kapitału.

Przy nieco głębszych poszukiwaniach, ale zawsze jeszcze ponad kamienną skorupą ziemi, natrafiono na niezmiernie bogaty kruszec, zawierający do 40 unicyi srebra i 75 do 120 dolarów złota na tonę kruszczu, który zawdzięczał bogactwo swoje telurkowi złota. Te złotodajne żyły są nadzwyczajnie grube i długie. Dotychczas w głębokości swej nie zostały tknięte, a kilka żył kruszcowych, złotodajnych, na terenach spółki i to pokaźnej grubości, zupełnie dotąd dłytkie roboty górnicze pominęły. Doświadczenia na miejscu poczynione, z całą pewnością wykazały, że w miarę spuszczania się w głąb, kruszec staje się w złoto bogatszym. Na każde sto stóp posuwania się w głębokość, na pewno liczyć można, co najmniej na sto tysięcy ton kruszczu podobnej wartości, jak ta, którą się w młynie przez okres półtoraletni otrzymało. Znachodzenie telurka złota daje jeszcze rękojmię, że oprócz olbrzymich zapasów rudy złotej normalnej, znajdują się w tej kopalni nadzwyczajnie bogate rudy złota, które każdego czasu robotami górniczemi napotkane być mogą i w takim razie niezmiernie wysoko wartość kopalni, a z nią wartość akcyi podniosą."

Inicyatorem i organizatorem tego przedsiębiorstwa był ś. p. dr Midowicz. Obok niego, jako założyciele, działali: ś. p. ks. Bażyński, ks. Grutza, sędzia La Buy i Smulski, a więc ludzie, wśród Polaków amerykańskich znani i wybitne zajmujący stanowiska. Akcye kopalni nabywać można dotychczas jeszcze po 50 dolarów za 100. Skoro atoli rozpoczną się prace w kopalni, cena akcyi, jak pisze p. Maryański, z całą stanowczością podniesiona zostanie.

Artykuł p. Maryańskiego kończy się następującem życzeniem: „Wobec budzącego się dzisiaj, tak koniecznego w Ameryce ducha solidarności i pracy zbiorowej, uważam szczęśliwe i pomyślne rozwiązanie sprawy kopalni polskiej, dla interesów naszych, za kwestyę wagi pierwszorzędnej, i dlatego życzyćby należało, aby przedsiębiorstwo to polskie, pierwsze tego rodzaju, jak najprędzej odżyło i plonem złotym akcyonaryuszy swoich obsypało."

Uwagi rolnika o orce płaskiej.

Nie wątpiąc, że sprawa orki na płask lub w zagony musi być koniecznie i, co daj Boże, jak najszybciej uregulowaną— zamieszczamy poniżej uwagi jednego ziemianina z okolic Przasnysza (gub. płockiej), drukowane w „Echach" płockich i łomżyńskich". Oto, co ziemianin ów pisze:

„Od kilku lat wprowadziliśmy u siebie t. zw. płaskie oranie, bo to i ładnie wygląda i żniwiarka dobrze sprząta, a na lekkich i przepuszczalnych gruntach zawsze, na ciężkich zaś podczas suszy sowicie się opłaca. Dwuletnie mokre lata trochę nas jednak do orania płaskiego zraziły, są nawet tacy polnicy, którzy się na nie mocno uskarżali i mają wrócić do dawnego orania w zagon z głębokiemi bruzdami. Zapewne jednak zwolennicy orki płaskiej mają rację, a niezadowoleni nie umieją sobie radzić, lub przyjęli zmianę bez zastanowienia. Bo pamiętajmy, aby płaskie oranie było pożytecznem, trzeba przedewszystkiem dobrych spadów lub drenów; gdzie tego brak, a grunty mocne, to płaskie oranie wymaga dobrze zrobionych przegonów. Pożytecznem byłoby, aby nasi uczeni rolnicy wypowiedzieli jeszcze swe światłe zdanie w tym względzie".

Przyp. Redakcyi. — Bardzo słuszne zdanie. Niech rolnicy sprawę powyższą wyjaśniają!

Rozmaitości.

Nietrwałość papieru w książkach, przeznaczonych do bibliotek publicznych, na długie lata i wieki, zaczyna bibliotekarzy przejmować obawą. Twierdzą oni, że wydawnictwa księgarskie ostatnich czasów są tak nietrwałe, że nie ulega wątpliwości, iż po kilkudziesięciu latach rozpadną się w proch i pył. Aby więc uchronić przed taką zagładą cenną bibliotekę narodową w Paryżu, zamierzają Francuzi wnieść projekt do ustawy, któraby nakazywała każdemu wydawcy dwa egzemplarze wydawanego przez siebie dzieła drukować na specyalnym, trwałym papierze i składać je bibiotece narodowej. Inaczej cały, a przynajmniej część znaczna dorobku naukowego Francyi współczesnej, nie mogłaby wcale liczyć na przekazanie jej dalszym pokoleniom.

Prawo takie przydałoby się wszędzie, a więc i u nas, a bodaj nawet czy dla nas nie jest pilniejsze, niż dla Francuzów. Jeżeli bowiem porównamy przeciętne wydawnictwa francuzkie z naszemi, to okaże się niezawodnie, że nasze stoją o wiele niżej. Papier francuzki, nawet papier gatunków niższych, jest bezwarunkowo trwalszy od naszego, a zwłaszcza od używanego u nas coraz powszechniej papieru z miazgi drzewnej. Dla ubogiej nauki polskiej zwłaszcza byłoby to ważne, gdyż wiadomo, że najgorzej są u nas zazwyczaj wydawane książki naukowe, które nigdy nie mogą dostąpić tego nawet honoru, jakiego dostępują poezye lub nowele, ukazujące się od czasu do czasu w kosztownych wydaniach na papierze czerpanym. Przeciwnie — najczęściej wydawane są oszczędnie i niedbale. Czas więc byłoby wziąć pod rozwagę projekt prawa francuzkiego, mając na względzie przyszłość naszych większych księgozbiorów.

Dodatek Humorystyczny.

Historye miłości.

Każdy mie pyta: dlaczego
Pomimo trzydziestu latek,
Żyję na świecie sam jeden
Jak błędny w polu bławatek?
Pytają mamy i ciocie:
Dla czego-m się nie ożenił,
Czyżbym tak wielce celibat
I życie samotne — cenił?
A ja wykręcam się wtedy
„Sianem“ — jak mówi się w gwarze,
No, bo z ciotkami, matkami —
Ach, przykre są komeraże!
Lecz tutaj wyznać wam mogę,
Żem się już kochał... pięć razy,
I odtąd też do małżeństwa
Nabrałem właśnie odrazy...
Jeśli-ś ciekawa o, Numo!
Czy jak cię tam mama zowie,
To ci historyę poeta
Miłości swoich opowie...

W dwudziestym piątym swym roku
Kochałem pierwszą w swem życiu,
I ta mi miłość — lekarstwem
Przeciwko była utyciu!
Bo moja luba — wierzajcie —
Tworzyła mi piekło Dante'a,
Bez przerwy czytając Milla,
Spencera, Wundta i Kanta.
I wiodła ze mną rozmowy
O duszy nieśmiertelności,
Aż mnie czasami duch strachu
Przez wszystkie przechodził kości!...
I tak mnie wkrótce zgnębiła
Swej filozofii doktryną,
Że-m się po kilku miesiącach
Już inną zajął dziewczyną...
I dałem takiego susa
Od „wzoru“ emancypacyi,
Że aż do strasznej podobno
Przywiodłem ją irytacyi..

Drugą miłością mą była
Ach — panna „uduchowiona“,
Bo oczy miała wciąż w górze,
Jakby na mniszkę stworzona...
Kazała mi tylko gwiazdy
Podziwiać na niebios świecie,
— Gdyż ludzie — mówiła — mają
Same popędy krecie!... —
Zmuszała, bym deklamował
Wciąż przed nią wiersze Asnyka,
— Bo one strofy — wzdychała —
Są — jak niebiańska muzyka!...
A kiedym jej raz powiedział,
Że ziemia ma też powaby:
— Filister pan jesteś! — rzekła —
A duchem pan arcy-słaby!...
Więc przekonawszy się rychło,
Że mamy różne pojęcie,
Nie mówiąc już ani słówka,
Drapnąłem od niej na pięcie!

Potem — poznałem w domowem
Zaciszu — młodą panienkę,
Co jeszcze miała warkoczyk
I ręce długie a cienkie...
Chwytała jednak za serce,
Urokiem swojej młodości,
Więc też została przedmiotem
Tej mojej trzeciej miłości...
Lecz owa dziwna istota
Tak kryła swe każde zdanie,
Że miała na ustach tylko:
„Tak panie!“ albo „Nie panie!“
I trudno było wydobyć
Z niej słówko — choć na przekąskę,
Więc przekonałem się wkrótce,
Że miałem przed sobą... gąskę.
Gdym fakt ten stwierdził dowodnie
Spojrzałem na nią ukośnie
I nogi, za pas zabrawszy,
Czmychnąłem — kędy pieprz rośnie!..

Zaś czwarta znów zawołaną
Była gosposią w fartuchu,
Jej zmysł był extra-kuchenny
I w kulinarnym tkwił duchu...
Nie znała żadnych autorów,
Krom słynnej panny Lucyny,
Umiała piec leguminy,
I smażyć wybornie liny,..
Dzień cały siedziała w kuchni,
I tam się zwijała szparko,
Dłubiąc w patelni lub garnku,
Kłócąc się ciągle z kucharką...
Kult miała dla sztuki mięsa
I ciast, pieczonych w donicy,
No jednem słowem — cóż mówić?
To był — Sévarin w spódnicy!...
Na milę czułem ją kuchnią,
Gdy podawała mi skwarki,
Więc jak kamfora zniknąłem,
Nie chcąc mieć żony kucharki!...

Ostatni raz pokochałem
Okropną znów histeryczkę,
Przypominała mi ona
Z Szyllera — ach! — rękawiczkę!
Włos mi kazała zapuścić
A potem ogolić wąsy!...
Kiedym się temu raz oparł,
To miałem takie znów dąsy,
Żem już nie wiedział co czynić
Mam z nową tą swoją biedą,
Gdy raz żądała, bym w dowód
Swych uczuć — objadł się kredą!...
Ciężko mi było już znosić
Histeryi owej napady,
Wychudłem przy niej jak szkielet,
Jak ściana — byłem wciąż blady!...
Więc czyż to dziwić was będzie
I czyż to kogo rozgniewa,
Żem uciekł od takiej lubej
Hen — gdzie cytryna dojrzewa!?

Oto jest cała historya
Mej pięciokrotnej miłości!...
Dziś w biednem sercu — uczucie
Zwątpienia już tylko gości...
Idyosynkracyi do niewiast
Mam w sobie olbrzymie morze,
Bo miłość — straszne Madeja
Słała mi zawsze łoże...
Czarne na białem dowiodłem,
Żem do małżeństwa był gotów,
Alem był ciągle wystawion
Na ciosy zatrutych grotów!...
Nie miałem szczęścia dla kobiet,
Bo szło mi z niemi na opak,
Przyznajcie — czułe słuchaczki —
Żem nieszczęśliwy jest chłopak!...
Lecz było mi snać „pisane,“
Choć za miłością jam gonił,
Bym się od złotych kajdanków
Do końca życia obronił!...

Odezwa do złodziei.

Jeden z dzienników lwowskich otrzymał następujący, wielce oryginalny list:

Wielce możni p. t. złodzieje! — Już to muszę poświadczyć, żeście się fajno sprawili, czy to wtedy, gdym jeszcze mieszkał naprzeciwko c. k. dyrekcyi policyi, czy w marcu tego roku, czy wreszcie teraz, gdyście przed paru dniami, to jest w czwartek w samo południe pracowali u mnie, chociaż obecnie mieszkam pomiędzy komendą generalną a odwachem namiestnictwa. Wasi kamraci za granicą, jak w gazetach pisano, fabrykują podobno jakieś maści, od których stal miękknie jak masło, a wy bez żadnych takich wymysłów potraficie za pomocą prostej siekiery tak się sprawić, że dla was wszelki zamek to furda. Spłókaliście mnie wtedy ze wszystkiego, co ma dla was jaką wartość, bo książkami mojemi słusznieście wzgardzili, ale przy tej okazyi pogruchotaliście mi wszystkie meble i poprzewracaliście mi wszystkie papiery w mem biurku. Szukaliście zapewno pieniędzy. No, i cóż? Przekonaliście się już po raz trzeci, że ich tam ani diu diu, a daję wam słowo, że i na przyszłość tam ich nie będzie.

Więc choć was nie zapraszam, to jednak gdyby wam przyszła ochota po raz czwarty mnie nawiedzić, to bądźcie łaskawi nie rąbać mi biurka. Jak widzieliście trzymam tam swoje papiery i nic więcej, a nie mam czasu, żeby je ciągle po was na nowo układać Zresztą podczas daremnego przewracania mogę ja sam lub ktoś inny nadejść i byłaby dla was jakaś psiakość. Więc w naszym wspólnym interesie proszę wielmożnych p. t. złodziei zostawić me biurko w spokoju, a przynajmniej tę szufladkę w środku. Bardzo was o to proszę! *Szachowski.*

Dział powieściowy.

SPIEWACZKA LUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1851.

19)

(Ciąg dalszy.)

Henryk popędził jak szalony. Przysiągł sobie uroczyście, że tylko on, a nie kto inny pochwyci zbrodniarza i domyślając się od razu, że morderca będzie się starał dostać do lasu pomiędzy skały ,obrał inną zupełnie drogę do pogoni. Stanął on prędzej w lesie, niż Leon, i czekał teraz spokojnie jego przybycia. Potem wyszedł mu naprzeciwko i po chwili miał go w swoich rękach.

— Więc to ty! — powtarzał z widocznym żalem. — Ach, nie mogę oczom moim uwierzyć! Ty nie możesz przecież być tak podłym! Lubiłem cię tak bardzo, i mam teraz pogardzać tobą? Powiedz, kto cię namówił do popełnienia tej zbrodni?

Henryk przeczuł bowiem, że Leon sam z siebie nie byłby nigdy tego uczynił, że za tem wszystkiem musiał ukrywać się ktoś inny. Ale daremnie pytał się, kto mógł w tej okolicy nienawidzieć do tego stopnia Teresę?

Leon milczał.

— Powiedz! — krzyknął Henryk groźnie, — kto cię namówił do tego? Za jaką cenę chciałeś zamordować pannę Krones?

Ach, nędzniku, nie wiedziałeś, że ja czuwam nad życiem tej kobiety, droższej mi, niż świat cały! Przyznaj się — czy popełniłeś tę zbrodnię z własnego popędu?

— Nie!

— Domyślałem się tego! Więc namówiono cię do tego!

— Tak!

— Obiecano ci dużo złota?

— Nie!

— A zatem nie za pieniądze uczyniłeś to! Ale cóż innego jak pieniądz może pobudzić człowieka do złego uczynku? Sława? Byłaby to smutna sława! Chyba miłość!

— Tak!

— Ach kobieta..... Zbliżamy się do rozwiązania zagadki! Kto — jaka kobieta, może pragnąć śmierci Teresy Krones? Kto to jest?

Leon milczał.

— Słyszałeś, o co cię pytałem?

— Tak!

— Więc czemu nie odpowiadasz?

— Bo nie chcę!

— Ach, mordować umiesz, ale prawdy wyznać nie! Tchórzem jesteś! Jeżeli mi nie powiesz wszystkiego w tej chwili, to cię zabiję w przeciągu dwóch minut! Tchórzu podły!

Leon byłby zniósł męki i śmierć, ale słowo — tchórz — było najokropniejszą dla niego obelgą. Tego nie mógł znieść za nic w świecie!

— Powiem już, powiem, — szepnął, — ale kapitanie — chociaż mnie zabijesz — odwołaj to słowo okropne.....

— Zobaczę, czy zasłużysz na to! Jaka więc kobieta namówiła cię do tej zbrodni?

— Kobieta — która mi serce i rozum zabrała — którą ubóstwiam! Ona chce być moją! Boże.....

— Kto — kto taki? — krzyknął Henryk niecierpliwie.

— Żona — kapitana — —

— Moja żona? — zapytał Henryk, nie dowierzając własnym uszom.

— Tak — Lea!

— Ach. Lea! Ona! Teraz wiem już wszystko! Jak gdyby mi łuski z oczu spadły! Myślała ona, że skoro Teresa umrze, to ja do niej się zwrócę..... Jaka podłość..... I co obiecała ci za to?

— Swoją miłość!

— Swoją miłość! Jak to ta żydówka trwoni swe uczucia! Najpierw ja, potem ty! I gdzie mieliście się spotkać? Może w moim własnym domu?

— Nie, w owej jaskini, którą pan kapitan zna także — w jaskini duchów.....

— Więc tam! Kiedy, dziś?

— Tak, teraz! Ona tam czeka na mnie, a ja — Boże Wielki, ja nie będę mógł przyjść! Zabij mnie prędko, kapitanie, nie przedłużaj moich męczarni, ja bez niej żyć nie mogę! Bez Lei nie ma życie najmniejszej dla mnie wartości. Zmiłuj się i zabij mnie!

W sercu Henryka dziwna toczyła się walka. Powinien on był rzeczywiście zabić mordercę, a jednak czuł litość dla niego — wszakże on sam kochał, a będąc w wieku Leona, oddawał serce nieraz kobietom, które go wyzyskiwały i oszukiwały, naprzykład takie jak Cezaryna Walden. Dla tego nie mógł bezwarukowo potępiać Leona. I w następnej chwili rzekł do niego, rozwiązując pęty z rąk i nóg:

— Wstań! Chciałbym z tobą kilka słów pomówić.

Leon podniósł się nieco i pozostał na klęczkach przed swoim kapitanem.

Ale Henryk ujął jego ręce pochylił się ku niemu i spojrzał mu serdecznie w oczy.

— Leonie, — rzekł, — nie żal ci wcale, żeś stracił moje przywiązanie? Nie wiedziałeś, jak ja cię lubię? Nie okazywałem ci zawsze uczuć brata starszego?

— Prawda! Wszystko to prawda! — jęknął młody olbrzym z rozpaczą.

— Niewdzięczność najbrzydszą jest wadą, — mówił Henryk dalej, — bo niewdzięczny staje się łatwo zbrodniarzem. Doświadczyłeś tego na sobie! Nie wiedziałeś ty, że ta, którą tak ukochałeś, jest moją żoną?

— Tak, żoną kapitana! Broniłem się też — walczyłem z tą miłością, chciałem ją wydrzeć z serca, ale nie mogłem. Uczucie to było silniejszem, niż moja wola. Jestem nędznikiem! Zabij mnie kapitanie!

— Nie, ja cię nie zabiję! Daruję ci życie! Twoja wina nie jest tak wielką — Lea wyzyskała twoją miłość w niegodny sposób, zawróciła ci głowę i użyła jako narzędzia swej złości. Ona za to odpokutuje! Przeciwko mnie nic zgrzeszyłeś niczem Leonie, tylko przeciwko Teresie Krones. Znałeś ty ją dawniej?

— Nie!

— I ona ci nic złego nie wyrządziła?

— Nigdy!

— A pomimo to chciałeś ją zamordować! Teresa Krones jest aniołem! Jest ona najsławniejszą śpiewaczką i opiekunką biednych! Jestem przekonany, że ona już ci wybaczyła złe, jakie jej wyrządziłeś, bo nie umie się na nikogo gniewać. I gdyby wiedziała, że życie twoje w moich jest rękach, to prosiłaby o łaskę dla swego — mordercy!

W oczach Leona błysnęły łzy.

— O, co ja uczyniłem, nieszczęśliwy, — jęknął, uderzając się w czoło.

— Mogę cię jednak pocieszyć tem, — rzekł Henryk, — że zraniłeś ją tylko, i to, jak mam nadzieję, lekko. Żałujesz tego, nieprawdaż?

— Ah panie kapitanie, i jak bardzo żałuję! Gdybym mógł cofnąć mój czyn okropny! I widzę teraz że Lea oszukała mnie — że korzystała z mojego zaślepienia, aby mnie użyć do swoich celów. Nienawidzę jej! Ale teraz muszę jeszcze wyznać najgorsze, kapitanie.....

— Cóż takiego?

— Ja czyhałem na twoje nawet życie!

— Czy ona i do tego cię namówiła?

— Tak!

— I co uczyniłeś, aby mnie zgubić?

— Zdradziłem cię, kapitanie!

— Mnie? Kiedy? Komu?

— Wówczas, gdy znajdowałeś się w domu celnika. Owe zagadkowe depesze do pana Wesselego pochodziły odemnie przeciąłem drut na polu i połączyłem go z moim aparatem, znajdującym się w domku pewnego strażnika. Teraz zabijesz mnie z pewnością, kapitanie!

Henryk stał jak piorunem rażony.

Wyjaśnił on sobie w tej chwili ową zagadkę, która mu wówczas takiem groziła niebezpieczeństwem i wydałaby go o mało w ręce Wesselego!

Więc to Leon zdradził go!

Od niego naturalnie byłby się najmniej tego spodziewał.

— Skończmy już, — rzekł cicho, — nie wiem jeszcze co z tobą zrobię!..... Zasłużyłeś wprawdzie na śmierć, ale twój szczery żal wzrusza mnie! Idź natychmiast do Kamczyka i zamelduj się u niego, jako więzień. Nie opuścisz jego domu bez mego pozwolenia, a jeżeli będziesz chciał uciekać, to bądź pewien, że ja cię wszędzie znajdę, chociażby na końcu świata! Weź teraz moje futro i moją czapkę, a daj mi twoje.....

Leon wykonał rozkaz.

Biedny ten chłopak poznał teraz charakter Lei i całą jej niegodziwość, a w miejscu ślepej dla niej namiętności powstała nagle w jego sercu głęboka dla niej nienawiść.

Henryk zamienił z Leonem futra i czapki, zarzucił fuzyą przez ramię i rzekł:

— Teraz jesteśmy gotowi. Ty wiesz, dokąd masz iść, Leonie!

— Wiem kapitanie!

— Więc czego stoisz? Czy chcesz jeszcze czego?

Leon rzucił się przed nim na kolana!

— Kapitanie, — zawołał z rozpaczą, — wiem, żem łotr i nędznik, ale pomimo to błagam cię, wybacz mi! Życie moje jest odtąd twoją własnością! Posyłaj mnie na najniebezpieczniejsze wyprawy, tam, gdzie nikt inny iść nie chce, pozwól mi walczyć za siebie, ale cofnij słowo.....

— Dobrze, — odrzekł Henryk, — za szczerość twoją muszę cię nagrodzić. Kto ma odwagę popełnienia złego, a jeszcze większą do przyznania się do tego, ten tchórzem nie jest. Ale idź teraz i pokutuj za złe, jakie popełniłeś!

— Jeszcze jedno, kapitanie, — szepnął Leon całując z wdzięcznością ręce Henryka, — ja wiem, dokąd teraz idziesz! Ty chcesz ją zabić...... Nie masz miłosierdzia dla niej?

— Nie! Tobie daruję życie, ale ona umrze! — zawołał Henryk.

I szybko zbiegł ze skały.

Leon rzucił się na ziemię i płakał jak dziecko, a z ust jego wybiegło zawsze tylko to jedno słowo:

— Lea! Lea!

ROZDZIAŁ XLV.

W jaskini duchów.

Lea z niecierpliwością oczekiwała wieczora. Dziś miało się wszystko rozstrzygnąć — z śmiercią Teresy musiało się przecież rozpocząć jej szczęście!

I rozstrzygnęło się wszystko, ale inaczej, niż przypuszczała.

Około siódmej, gdy wiedziała, że przedstawienie teatralne już się rozpoczęło, stała się tak niespokojną, że ledwie mogła w domu wytrzymać. Najchętniej byłaby biegła do wsi Dernburga, i weszła w jakiem przebraniu na salę, aby być obecną popełnieniu morderstwa, które tak mądrze, podług jej zdania urządziła.

Ah, teraz podnoszono kurtynę — teraz wychodzi Teresa na scenę, — teraz podnosi Leon pistolet — teraz. — —

Lea krzyknęła. W myśli widziała już Teresę leżącą na ziemi, zakrwawioną — publiczność biegnącą ku niej..... I słyszała, jak wszyscy krzyczą:

— Teresa Krones nie żyje!

Że Leona będą gonić, ścigać, o tem wiedziała napewno i pragnęła tego, była bowiem przekonaną, że publiczność zabije go na miejscu.

Spodziewała się tego nawet na pewno!

Była też przekonaną, że Leon za nic w świecie nie powie, kto go do tego morderstwa namówił, i że żadne męki, ani nawet śmierć nie skłoni go do wyjawienia jej imienia. Miłość zaślepiła młodzieńca tak, że mogła robić z nim co chciała.

Ach, byleby tylko usunąć Teresę! Wtedy Henryk musi się zwrócić do niej i pokochać ją, i na myśl o tem drżała z szczęścia. Ze sto razy biegała w ciągu tego wieczora do okna, aby patrzeć na drogę, wiodącą do wsi hrabiego.

Czy jeszcze nikt z upragnioną nie nadchodził wieścią?

Nie — ale to zresztą było niemożliwem, nikt z służby zamkowej nie poszedł na przedstawienie.

Henryk wyszedł przed wieczorem, nie wiedziała jednak dokąd. Wszakże on jej tego nie powiadał — w ostatnich czasach wogóle wcale z nią się nie widywał!

O dziesiątej miała się spotkać z Leonem w jaskini duchów, od niego samego więc dowie się pomyślnej dla siebie nowiny!

I nareszcie nadeszła godzina, w której Lea mogła wybrać się w drogę. Okryła się długim, ciemnym płaszczem, na głowę zarzuciła szal, i gdy już była gotową, wsunęła szybko jeszcze do kieszeni mały, ostry sztylet w skórzanej pochewce.

Szyderczy uśmiech pojawił się przytem na jej ustach.

— To dla ciebie, niedźwiedziu, — szepnęła. — Czy myślisz, że ja doprawdy twoją będę? Ha, ha, ha, Lea Lebel nie dla takiego, jak ty! Zamiast pocałunków uczujesz ostrze tej broni!

Nikt jej nie widział wychodzącej, otworzyła sobie bowiem boczne drzwi i prędko do lasu pobiegła. Nie lękała się iść w ciemności. Samotność lasu i gór, noc — przepaści i skały — nic jej nie przerażało, gdy chodziło o taki cel! Myśl, że usłyszy o śmierci Teresy, dodawała jej sił i odwagi. Byłaby szła całą noc, gdyby była musiała.

Teraz zbliżyła się do jaskini i stanęła, nie wiedząc, czy wejść, czy też czekać tutaj na Leona.

Ale może on tam już był.....

Wsunęła się więc przez mały ciasny otwór w śniegu, i szepnęła:

— Jesteś — Leonie?.....

— Tak pani! — odrzekł jakiś cichy głos.

Lea nie wątpiła ani na chwilę, że to był Leon. On sam odkrył tę jaskinię, gdy pewnego dnia ścigał rysia.

Ku wielkiemu jego zdumieniu zniknął ryś nagle pomiędzy skałami, i ztąd wpadł Leon na myśl, że tu musi się znajdować jakieś ukryte wejście.

I tak też było istotnie, a młody olbrzym wykrył jaskinią, o której istnieniu nikt nie wiedział. Było to bardzo dla niego ważne — posiadać schronienie, którego z nikim już dzielić nie potrzebował.

Wówczas nie myślał on o tem, że w tej jaskini układać będzie plany morderstwa z kobietą, ukochaną aż do szału, i że tu będzie czekał na spełnienie swych najgorętszych życzeń!

— Leonie, — zawołała teraz piekna żydówka po raz drugi, — zbliż się do mnie! Powiedz mi — czy mogę się cieszyć — czy nie istnieje już więcej owa Teresa Krones, czy — zabiłeś ją?

W tejże chwili zbliżyła się do niej wysoka postać męzka, i Lea rzuciła się w objęcia — jak zawsze jeszcze myślała — Leona.

— Powiedz, że ona nie żyje — prosiła, — i bierz mnie ukochany! Ale powiedz, że zabiłeś Teresę Krones!

— Zabiłem ją, — odrzekł Henryk, — kula serce przeszyła.....

— Ach, jak to dobrze! — krzyknęła Lea. — Ona nie żyje! Opowiedz mi wszystko dokładnie — czemu tak milczysz? Ja ci za każde słowo pocałunkiem zapłacę!

— Teresa Krones nie żyje! Widziałem ją, jak upadła i słyszałem setki głosów:

— Teresa Krones walczy ze śmiercią!

— O Leonie, dziękuję ci, dziękuję ci! Uratowałeś mi życie, bo oszalałabym, gdybym te męki dłużej znosić miała. Teraz jest Henryk moim — gdy się dowie, że Teresa nie żyje, będzie z początku rozpaczał, ale potem uspokoi się wnet i będzie moim! Ach, jak ja ci wdzięczną jestem! Czemu nie mogę całemu światu oznajmić, że Teresa Krones nie żyje! Nie żyje!

— A moja nagroda? — szepnął Henryk.

— Nagroda — tak.

Lea zadrżała. Nie miała ona bynajmniej zamiaru dotrzymywania słowa, bo pomimo całej swej przewrotno-

ści i niegodziwości, kochała ona zanadto Henryka, aby się innemu oddawać mężczyźnie!

Wyjęła więc ostrożnie sztylet i zbliżyła się do Henryka.

— Dotrzymam przyrzeczenia, — rzekła i objęła lewą ęką jego szyję. — Kochasz mnie doprawdy? — szepnęła, przyciskając się do niego.

— Nad życie!

— Ach, jak twoje serce bije — jak mocno — pozwól mi liczyć jego uderzenia..... Umieraj nędzniku! — krzyknęła nagle i podniosła prawą rękę z sztyletem. — Lea Lebel nie dla ciebie!

Ale w tejże samej chwili uczuła się silnie pochwyconą za ramiona, i śmiertelnie przerażona upadła na kolana.

— Nędznico! Zabójczyni! krzyknął teraz Henryk, nie zmieniając już głosu, — godzina twej śmierci wybiła!

— To ty Henryku! Ach, zginęłam! — jękła Lea, nie pojmując jeszcze całej prawdy.

— Tak, to ja! Człowiek, którego imię nosisz, którego zmuszono do zaślubienia ciebie, stoi przed tobą, i żąda od ciebie zdania sprawy z twoich czynów! A przedewszystkiem dowiedz się, że Teresa Krones żyje!

— Ach!



Tak jest. nikczemna kobieto! Nie osiągnęłaś celu — Bóg nie chciał, aby Teresa umarła!

— *Tak jest, nikczemna kobieto! Nie osiągnęłaś celu — Bóg nie chciał, aby Teresa umarła!* Co ci zawinił ten anioł, że pragnęłaś go zabić? Czy cię zazdrość zaślepiła? I dla zazdrości chciałaś mi wydrzeć to, co mi najmilszego na świecie?

Bo ja zawsze jeszcze kocham Teresę i nigdy jej kochać nie przestanę!

— Więc zabij mnie! Po tem wyznaniu twojem nie ma życie dla mnie żadnej wartości!

— Ach, ty podła istoto!

— Cóż ja złego uczyniłam? — zaczęła się bronić Lea. — Chciałam tylko usunąć tę, która mi życie zatruła. Nienawidziłam jej, bo ty ją kochałeś! Każda kobieta powinna niszczyć rywalkę, odbierającą jej serce męża!

— Takie to są twoje zasady, — odrzekł Henryk pogardliwie, — ale chociażbyś miała słuszność, to nie zapominaj, że ty żoną moją jesteś tylko z nazwiska! Że małżeństwo nasze jest tylko pozornem! Nie masz więc żadnych praw do mnie! I nie dosyć na tem, że chciałaś popełnić zbrodnią — czemu jeszcze namówiłaś do tego chłopaka młodego, uczciwego, który zaślepiony miłością dla ciebie, zgodził się na twoje żądanie!

— Ah, mówisz o Leonie? — zawołała śmiejąc się szyderczo.

— Ty się jeszcze śmiejesz? Pożałujesz twego śmiechu! Tak, ja mówię o Leonie, którego masz na sumieniu! B zostając rozbójnikiem, nie upadł tak nizko, jak w chwili w której się twojem stał narzędziem! Kupiłaś go swojem wdziękami i kazałaś mu zdradzić mnie.....

Lea poznała, że Henryk wiedział o wszystkiem i będąc pewną śmierci, chciała mu raz przynajmniej wyjawi wszystkie swoje uczucia.

— Tak, — rzekła otwarcie, — ja go namówiłam, ab cię zdradził. Przyrzekłam mu za to moją miłość, ale ni byłabym nigdy przyrzeczenia mego dotrzymała! Chciałam go zabić. Sztylet, który tu leży, świadczy najlepiej o prawdzie moich słów.

I myślisz, że żałuję tego, co uczyniłam? Wcale nie żałuję tylko, że wybrałam do tego takiego glupiego, nie zręcznego człowieka, jak Leon! Bo ja nienawidzę Teres Krones — ona mi zabrała serce twoje i miłość twoją! Po wiesz mi może, że ona nic nawet nie wie o mojem istnieniu że prawa jej do ciebie są starsze, ale kochająca kobieta ni myśli o logice, tylko o tem, w jaki sposób pozyskać ukocha nego! Rób ze mną, co chcesz, zabij mnie, zamęcz, mnie t obojętne! Ja z życiem skończyłam. Chcę umrzeć z twe ręki i przysięgam ci, że umrę chętnie.

— Ja cię nie zabiję, — odrzekł Henryk przytłumio nym głosem. — Umrzeć prędko — tego sobie każdy życzy ty zaś musisz najpierw jeszcze pokutować i żałować z grzechy!

— Nigdy!

— Ja cię zmuszę do tego!

— Spróbuj! Ja tylko żałuję, że sama nie wzięłam pistoletu do ręki — byłabym lepiej celowała!

— Może! Ale temi słowami wydałaś sama wyrok n siebie. Pójdź ze mną!

— Dokąd?

— Zobaczysz! Pójdź ze mną!

Lea otuliła się płaszczem i wyszła z Henrykiem z ja skini. Uważała się za jego niewolnicę i z pewną przyjemno ścią wypełniała jego rozkazy.

Oboje szli w milczeniu . Las stawał się coraz rzad szym i skały niższemi, schodzili zatem z gór, Lea jedna nie miała pojęcia, gdzie się znajdują. Tej części gór ni znała wcale.

— Dokąd ty mnie prowadzisz? — zapytała w końcu

— Zaraz staniemy na miejscu, — odrzekł Henry z pogardą. — Prowadzę cię tam, dokąd należysz. Uczciw ludzie płacą swoje długi, a żona hrabiego Orszańskieg musi zapłacić każdemu to, co mu obiecała!

Słów tych nie rozumiała Lea, ale dziwne uczucie stra chu ogarnęło jej serce. Nieśmiało, ukradkiem spojrzała n Henryka i ujrzała okropny jakiś uśmiech na jego ustach...

Teraz ukazały się w dali małe, liczne światełka, i Hen ryk szedł wprost ku nim.

— Tam jest Horka, — zawołała Lea, — czy tam chcesz mnie zabić?

— Powiedziałem ci raz już, że cię nie zabiję! Nie chc sobie kalać rąk krwią twoją!

I ująwszy jej rękę, pociągnął ją za sobą.

Lea zaczęła drżeć ze strachu. Gdyby jej Henryk by przyłożył pistolet do głowy, nie byłaby czuła takiego prze rażenia, jak teraz. Wiedziała bowiem, że czeka ją co okropnego, ale nie wiedziała, co.

Głęboka cisza panowała w około, w chatach palono jeszcze światło, ale na drodze nikogo już widać nie było Henryk zwrócił się teraz w bok i zmierzał ku jednej z naj lepszych i największych chat.

Tam mieszkał Michał Kamczyk, a zwyczajem, panu jącym w Horce były drzwi chaty otwarte.

— Wejdź, — zawołał Henryk i popchnął Leę ku drzwiom.

A zaledwie weszła, porwał ją w pół i zaniósł na dół do jakiegoś ciemnego sklepu.

— Boże Miłosierny! — krzyknęła Lea, — co to ma znaczyć? — Czy w tym sklepie chcesz mnie zamordować?

Henryk milczał.

— Zlituj się, odpowiedz mi, — błagała. — Gdzie ja jestem?

— U twego kochanka, Leona! — odrzekł Henryk z szatańskim nieomal uśmiechem. — Odpokutujesz ty za Teresę!

Gdybyś mnie tylko była kazała zabić — wybaczyłbym

…i, ale tego, coś zawiniła względem Teresy nie zapomnę ci nigdy! Pokutuj teraz!

Po tych słowach wyszedł z sklepu i zamknął drzwi na klucz.

Lea zerwała się jak szalona. Pięściami biła o zamknięte drzwi i słabemi, delikatnemi rękami usiłowała zamek wyłamać.

— Henryku! — krzyczała, — zabij mnie, ale nie zostawiaj tu samej! Zmiłuj się!

— A miałaś ty miłosierdzie dla niewinnej Teresy? Nie, ja dla ciebie litości nie mam!

Lea słyszała oddalające się kroki Henryka i z okrzykiem rozpaczy rzuciła się na wiązkę słomy, leżącą w kącie okropnego tego sklepu.

Co się miało z nią stać? Czemu Henryk przyprowadził ją tu dotąd? Kamczyk był najwierniejszym sługą Henryka, równie dzikim jak okrutnym.....

Czy on miał ją zabić?

Ach, niech się już dzieje co chce — lepiej umrzeć, niż żyć bez miłości i szacunku tego, którego się najwięcej kocha na świecie. Do dnia dzisiejszego posiadała Lea przynajmniej szacunek męża, teraz i to straciła zupełnie. Henryk okazywał jej zawsze pewną uprzejmość dotąd i nie wynawiał jej nigdy postępku brata, który właściwie całe ich obojga zawinił nieszczęście.

Serce Lei przepełniała gorycz na myśl o bracie, on sam rzeczywiście wszystkiemu był winien. On musiał wiedzieć, że taki związek nie może być szczęśliwym, a pomimo to zmusił Henryka do zaślubienia jej!

— Byłabym dziś dawno już o nim zapomniała, — mówiła sobie Lea w duszy, — i byłabym szczęśliwą. Tymczasem nie ma pewnie na świecie kobiety tak upokorzonej i nędznej jak ja!

W tejże chwili usłyszała szelest na schodach, i przyłożywszy ucho do drzwi, zaczęła nadsłuchiwać.

Był to głos Henryka!

Czy przyszedł ją uwolnić.....

— Leonie, — mówił Henryk, — chciałeś mnie zdradzić, i naraziłeś życie moje na niebezpieczeństwo. Powinienem się gniewać na ciebie!

— Kapitanie, — odrzekł Leon, — masz prawo zabić mnie!

— Chcesz sobie zasłużyć na moje przebaczenie?

— Ach, gdyby to było możliwem! Uczyniłbym wszystko.....

— Jutro znowu przyjąłbym cię do naszego stowarzyszenia! I byłbyś tak jak dotąd moim powiernikiem — bo że mnie po raz drugi nie zdradzisz, o tem jestem przekonanym!

— Nie, ja mego kapitana już nie zdradzę!

Lea słyszała każde słowo.

— Przebaczę ci więc, — mówił Henryk dalej, — ale pod jednym tylko warunkiem.....

— Pod jakim? Czy mam wbić sztylet w serce tej fałszywej kobiety, która mnie do wszystkiego złego namówiła? Mam ją udusić mojemi rękami? Ach, jak ją kochałem.....

— I kochasz ją jeszcze?

— Może — — —

— W takim razie bierz ją sobie!

Lea cofnęła się od drzwi, śmiertelnie przerażona.

Teraz zrozumiała plan zemsty Henryka!

— Lea przyrzekła ci zapłatę, a zatem przyrzeczenia dotrzymać musi! — mówił Henryk głośno. — Miała być twoją, jeżeli zabijesz Teresę Krones — strzeliłeś do niej i zraniłeś ją — to wystarcza! Że nie zabiłeś jej od razu, to już nie twoja wina! Ja ci podaruję moją żonę, Leonie! Do jutra możesz ją tu zatrzymać!

Lea opierała się o ścianę na wpół żywa. To, co ją czekało, było stokroć gorszem, niż śmierć.

I już otworzono drzwi i olbrzymia postać Leona stanęła na progu.

Z przerażającym krzykiem uciekła Lea do najciemniejszego kąta.

— Leonie, — błagała, — zmiłuj się nademną! Ja ci dam pieniędzy tyle, ile chcesz, tylko pozwól mi wyjść stąd!

Leon jednak był głuchym i nieczułym na wszelkie jej prośby i obietnice.

. . . .

Nazajutrz stanął przed chatą Kamczyka zamknięty powóz, i dwóch mężczyzn wyniosło z chaty młodą, piękną Leę, z rozpuszczonemi włosami i błędnym wzrokiem.

Nieszczęśliwa sama iść nie mogła, a twarz jej zdradzała wyraźnie obłąkanie!

Gdy ją wsadzono do powozu, zachowywała się okropnie i zawołała głośno:

— *Jestem narzeczoną niedźwiedzia!*

. . . .

Tydzień później odegrała się w Warszawie bardzo smutna scena.

Samuel Lebel, ulubieniec Wielkiego księcia, siedział właśnie przy obfitem śniadaniu, gdy do pokoju wszedł służący.

— Czego chcesz? — zawołał Lebel. — Wiesz, że nie lubię, aby mi przeszkadzano. Jeżeli kto chce się ze mną widzieć, to powiedz mu, aby przyszedł o dwunastej.

— Nie ekscelencyo, — odrzekł służący widocznie nieco zmieszany, — to zupełnie co innego!

— Więc cóż takiego?

— Przed kilku minutami zajechała przed główną bramę zamknięta kareta. Stangret wysadził czarno ubraną kobietę, wprowadził ją na dziedziniec, potem wrócił do karety, wskoczył na kozioł i zniknął.

— Nic jeszcze w tem nadzwyczajnego nie widzę, — odrzekł Lebel wstając. — Ale co się stało z ową kobietą? Czego ona chce odemnie?

— Portyer zapytał ją o to — myślał, że może ma jaką prośbę do oddania — ona jednak przeszła koło niego nie mówiąc ani słowa, usiadła na schodach i siedzi tam ciągle jeszcze.

— Więc każcie ją wyrzucić!

— Chcieliśmy to już uczynić, ale ona musi być obłąkaną, bo tak zaczęła krzyczeć i płakać, że obawialiśmy się u niej wybuchu szaleństwa!

W tejże chwili dały się istotnie słyszeć przerażające krzyki.

Lebel otworzył drzwi i słuchał.

— Precz, — krzyczała obłąkana, — nie ważcie się mnie dotykać! Niedźwiedź jest moim narzeczonym, on was wszystkich rozszarpie!

Okropne przerażenie ogarnęło Lebla. Jak szalony zbiegł ze schodów, i ujrzał na dziedzińcu wysoką, młodą kobietę, czarno ubraną i z czarną na głowie zasłoną.

Twarzy nie mógł rozpoznać, ale ten głos! ten głos!

Przypomniał on mu tę, która mu najdroższą była na ziemi....

Dwóch służących uchwyciło obłąkaną, ciągnąc ją ku bramie. Ona krzyczała i wydzierała im się jak mogła, ale oni byli silniejsi.

— Dajcie jej pokój! — krzyknął nagle Lebel.

Na dźwięk jego głosu stanęła kobieta, pochyliła nieco głowę i przyłożyła ręce do skroni, jak osoba, pragnąca sobie coś przypomnieć.

W następnej chwili stał Lebel koło niej, wziął jej rękę i wprowadził do pierwszego lepszego pokoju.

— Kto jesteś? — zapytał drżącym głosem. — Zkąd przybywasz, nieszczęśliwa?

— Niedźwiedź jest moim narzeczonym, — odrzekła — Strzelaj! Celuj dobrze, w samo serce!

Lebel jęknął i upadł na krzesło. Teraz nie wątpił już o tem, że kobietą ową jest jego siostra ukochana!

I szybkim ruchem zerwał zasłonę z jej głowy.

— Lea! — krzyknął.

Trudno opisać, co się w sercu jego działo.

— Lea umarła, — odrzekła obłąkana. — Widziałam ją! Leonie, zabij tę kobietę! Ja cię chojnie za to wynagrodzę! Dam ci kilka gwiazd z nieba!

— Moja siostra — waryatką! — szepnął Lebel, sam na wpół nieprzytomny. — Kto mógł popełnić podobną zbrodnię!

— Leo, — dodał głośno, zwracając się do niej, — poznajesz mnie? Nie wiesz, że ja jestem twoim bratem?

Ale śmiech okropny całą był na to odpowiedzią.

— Pomszczę ją, — pomyślał, biegając po pokoju, — pomszczę ją! Ach ten nędznik! Pozbawił ją rozumu, obchodził się z nią źle, mszcząc się tym sposobem na mnie za to, że zmusiłem go do tego ślubu! Ale od początku teraz

moją potęgę! Chociaż siedzi w swoim zamku w Galicyi, to ja i tam go dosięgnę!

W tejże chwili zauważył, że z za stanika Lei wypadł kawałek papieru!

— Może to list, — szepnął, podnosząc papier. — Tak...

Zaledwie przebiegł oczami zapisaną ćwiartkę, gdy porwał się jak zwierz, z okrzykiem wściekłości i zgruchotał z siłą, jakiej-by mu nikt nie przypisywał, dno krzesła, stojące przy oknie.

Treść listu tego była następującą:

„Mam zaszczyt odesłać panu siostrę, którą mi jako żonę wbrew mej woli narzuciłeś. Dodaję, że nie ja stałem się powodem do rozwiązania tego dziwnego małżeństwa. Panna Lebel, którą miałem zaszczyt nazwania przez pewien czas moją żoną, była tego zdania, że nie potrzeba dotrzymać tego, co się przed ołtarzem przysięgło. Panna Lebel miała kochanka, a tym był prosty chłop wiejski, nieokrzesany, dziki, nazwany „niedźwiedziem.“ Znaleziono ją w jego mieszkaniu obłąkaną. —

Wiedząc, że małżeństwo nasze jest nierozerwalnem, muszę cierpliwie czekać, aż śmierć uwolni mnie od kochanki mego wieśniaka.

Henryk Orszański.“

Lebel siedział długo nieporuszony, oddychając ciężko. Potem zerwał się gwałtownie, zwinął list, i w pierwszej chwili zdawało się, że uderzy siostrę. Przyskoczył bowiem do niej z podniesioną ręką, krzycząc groźnie:

— O ty, ty nędznico! Sprowadziłaś wstyd na nasz dom! Wyszukałem ci szlachcica, hrabiego, a ty wybrałaś wieśniaka bez wykształcenia i wychowania, prostego chłopa! Powinienem cię zabić! Ale nie, — dodał łagodniej, — opuszczając rękę, — nie mogę się nawet gniewać na ciebie! Jesteś dosyć ukaraną, biedna, nieszczęśliwa siostro! Zostaniesz u mnie — a widok twój będzie mi nieustannie przypominał, że muszę cię pomścić! I ta myśl zemsty wypełni odtąd moje życie! Bo ja muszę zemścić się na tym, który mi cię taką odesłał i w sposób tak szyderczy mi donosi o tem, co się stało! —

I gorące łzy spłynęły po jego twarzy.

— Muszę się zemścić, — myślał, — pomiędzy Orszańskim pozostanie walka, w której jeden z nas zginąć musi koniecznie. Użyję całej mojej siły, całej potęgi! Będę go ścigał i szpiegował na każdym kroku, i gdy się najmniej będzie tego spodziewał, ukąszę go, jak żmija, która z nienacka rzuca się na swoje ofiary. Musi on także umierać zwolna, w mękach... Bo on sam jest powodem nieszczęścia Lei! Dla niej zaś, biednej obłąkanej, urządzę mieszkanie, w którem spokojnie żyć może aż ją Bóg z tych cierpień oswobodzi.

A Lea chodziła po pokoju i śmiała się okropnie! —

ROZDZIAŁ XLVI.

Dotrzymanie rozgrzeszenia.

Rana Teresy nie była ani małą, ani niebezpieczną. Ale strata krwi osłabiła ją bardzo, i dla tego musiała pozostać jeszcze dwa tygodnie w zamku, aby odzyskać siły.

Ona sama nic na tem nie straciła, myśl jednak o dyrektorze Rajmundzie niepokoiła ją wielce, bo nie miał nikogo, ktoby ją mógł zastąpić.

Wiedeńczycy domagali się ulubionej śpiewaczki, publiczność upominała się o jej powrót, a doktor Fried kazał jej bezwarunkowo leżeć spokojnie i nie myśleć wcale o podróży.

Nareszcie jednak nadszedł dzień, w którym wolno jej było wyjść na balkon i odetchnąć świeżem powietrzem zimowem.

Twarz Teresy była jeszcze bladą, ale oczy dawnym jaśniały blaskiem. Widocznie była już zupełnie zdrową, a w duszy jej zbudziła się tęsknota za śpiewem i sceną.

— W zamku tym, — rzekła do Dernburga i Fedory, — zostawiam dużo wierzycieli, względem których nałożyłam na siebie wiele ciężarów, mimowoli wprawdzie, ale to nie zmienia mojej wdzięczności. Mam też nadzieję, że w Wiedniu będę się mogła państwu nieco odwdzięczyć. Bo nie wątpię, — zwróciła się do hrabiego, — że pan przywieziesz wkrótce żonę do Wiednia.

— Naturalnie! Przyjedziemy napewno, — odrzekł Dernburg.

W tejże chwili oznajmiono mu, że inżynier chce się z nim widzieć! Hrabia wyszedł, i obie młode kobiety zostały same.

— Czy dług mój względem pani, — rzekła teraz Teresa, ujmując rękę Fedory, — zdołam kiedykolwiek odpłacić, wątpię! Pani wyrwałaś mnie wówczas z rąk tego niegodziwego Bondi, i ocaliłaś mi więcej, niż życie!

Fedora zadrżała.

Po raz pierwszy wspominał jej ktoś o przeszłości.

— Cicho, — szepnęła, — cicho, na Boga, mój mąż nie powinien nic o tem wiedzieć....

— Pani ukrywasz to swoje wysokie pochodzenie? — spytała Teresa. — Chciałam dawno już z panią o tem mówić, bo wyznaję, że to niesłusznie z twej strony. Pomiędzy żoną a mężem nie mają być tajemnice, a najmniejsze kłamstwo może się czasem stać powodem wielkiego nieszczęścia. Słuchaj pani mojej rady i powiedz prawdę twemu mężowi, powiedz mu, że jesteś córką Wielkiego księcia Konstantego! Przecież takiego pochodzenia nie potrzebuje się nikt wstydzić!

— O nie! — zawołała Fedora ze łzami w oczach, — mój mąż nie dowie się nigdy o tem! Jako służąca weszłam do jego domu, i nie śmiem mu wyznać teraz, że go zaraz z początku oszukiwałam. A zresztą — wstydzę się za mego ojca! Mój mąż pomyślałby może że jabłko niedaleko pada od jabłoni! Co zaś najważniejsze, to jest to, że ja mogę wyjść za mąż tylko za członka rodzin panujących, i że dla tego jest prawnie — małżeństwo moje z hrabią Dernburgiem nieważne. Dla tego muszę mu zataić moje książęce pochodzenie! Ale pani mnie nie zdradzi, nieprawdaż? — dodała, ściskając rękę śpiewaczki.

— Nigdy!

Przed tygodniem odbył się ślub Dernburga i Fedory zupełnie cicho, bez zabaw i uroczystości, ze względu na chorobę Teresy, i nie było pewnie daleko i szeroko szczęśliwszej nad Fedorę kobiety! —

— Gdybym tylko wiedziała, — zaczęła Teresa znowu po chwili, — czemu Hanusia taka smutna? Nie podpadły pani w ostatnich dniach jej zapłakane oczy?

— O tak, — odrzekła Fedora, — i ja to zauważyłam. Pomyślałam sobie zaraz, że biedna musi mieć jakieś zmartwienie. Może się pogniewała z narzeczonym!

— Muszę ją wprost o to zapytać. Ach, otóż i ona!

Hanusia weszła do pokoju, Fedora zaś wybiegła, zostawiając przyjaciółki same.

— Hanusiu, — rzekła Teresa, pociągając dziewczę obok siebie na kanapę, — powiedz mi, co ci jest! Byłaś taka wesoła i zadowolona, a teraz chodzisz smutna, zapłakana... Co si się stało?

Ach, jestem bardzo nieszczęśliwą! Wyobraź sobie, cała ta podróż tu dotąd, w której o mało życia nie straciłaś, jest daremną. Franciszek nie chce z nami wracać.

— Jaki on nierozsądny! Ale może nie chce przyjąć mej pomocy pieniężnej, może czułby się tem upokorzonym. Dziwni ci mężczyźni! Sami sobie rady dać nieraz nie mogą, ale pomoc obca upokarza ich! Czemu nie miałabym pożyczyć pieniędzy mężowi mej najlepszej przyjaciółki?

— Ach, o to nie chodzi, — zawołała Hanusia. — Franciszek zbyt jest rozsądny, aby nie przyjąć pomocy tam, gdzie mu ją tak szlachetnie ofiarują. Ale ja obawiam się o jego rozum! Powiedz mi, czy może się coś tak wbić komu w głowę, że nie myśli już o czem innem, i nie zajmuje się czem innem, jak tą jedną ideą! I nie może jej się prędzej pozbyć, zanim nie wypełni jej rzeczywiście?

— Tak, tak, — zawołała Teresa, — to się każdemu zdarza!

— Nie myślałam nigdy, aby człowiek rozsądny i spokojny dał się tak opanować jakiemś tam przywidzeniem. Widzę jadnek, że i najrozsądniejsi ulegają temu. Franciszek — —

— Co on sobie przywidział? — przerwała Teresa. — Może zdołam mu pomódz!

Wyznał on mi zatem, czyli raczej oświadczył stanowczo, że ani z nami nie wróci, ani o ślubie ze mną myśleć nie może — bo ma tutaj jakieś zadanie do spełnienia, jakieś bardzo ciężkie zadanie!

— Cóż takiego?

— Ujęcie dowódzcy opryszków. W ostatnich dwóch tygodniach mnożyły się napady tej bandy z przerażającą szybkością — dziś napadli ten dwór, jutro inny, i tak co-

dziennie! Rozbójnik chce dowieść, że jest niezwyciężonym!

Teresa zadrżała. Nie wiedziała czemu, ale ile razy słyszała, że go przeklinano lub nędznikiem i łotrem nazywano, tyle razy czuła żal w sercu, tak, jak gdyby o nią samą chodziło.

A przecież widziała go raz jedyny w życiu! Ale on też ocalił ją od okropnej śmierci i to może zjednało mu jej niewytłumaczoną sympatyę.

— Ah, więc znowu mowa o tym opryszku, — rzekła. — Tak, wyrządza on wiele złego całej okolicy — ja przecież obawiam się, że Franciszek nie podoła swemu zadaniu. Rozbójnik musi być nadzwyczaj silnym i zręcznym, i drwi sobie z żandarmów i wszelkich urzędników!

— Ja też tak sądzę, — westchnęła Hanusia. — Że Franciszek upiera się koniecznie przy tem, aby tu zostać i ścigać rozbójników, to bardzo z jego strony nierozsądnie. Ale gdy go prosiłam, aby porzucił swój zawód i wracał z nami, rozgniewał się okropnie i rzekł mi:

— Nie opuszczę mego stanowiska za nic w świecie! Nie miałabyś szacunku dla mnie, gdybym opuścił posterunek, na którym stoję w imieniu ludzkości. Przyrzekłem moim przełożonym w Wiedniu, że oddam w ich ręce bandytę, i przyrzeczenia mego dotrzymam, chociażby o życie moje chodziło.

— Dzielny człowiek, — zawołała Teresa.

— Tak, ale gdy pomyślę, że mam odjechać ztąd i zostawić go tu samego na tysiączne niebezpieczeństwa, to wiem, że nie będę miała jednej chwili spokojnej.

— A jednak musisz wrócić ze mną! Tutaj zostać nie możesz!

Zaledwie Teresa słowa te wymówiła, gdy do pokoju wszedł Franciszek.

— Ah, otóż i on! — zawołała Teresa. — Spróbujmy go jeszcze raz nakłonić, aby jechał z nami, a jeżeli na to nie przystanie, to pożegnamy się z nim, bo jutro rano już odjeżdżamy z tąd.

— Jutro rano! — powtórzyła Hanusia blednąc.

Twarz Franciszka wcale też wielkiej nie wyrażała swobody. Ale on panował nad sobą i nie zdradzał się z swemi uczuciami i myślami.

— Jak dobrze, że pan przychodzisz, — zawołała Teresa, podając mu rękę, — mam z panem do pomówienia o czemś ważnem!

— Przedewszystkiem, — odrzekł młody celnik, — muszę pani powinszować szybkiego powrotu do zdrowia. Wyglądasz pani znakomicie!

— Dzięki Bogu, — odparła Teresa, — z łaską Boską będzie wszystko wkrótce zupełnie dobrze. Będę miała potrzebne siły do uszczęśliwienia ludzi, o tyle, o ile uszczęśliwić mogę. Niektórzy opierają się jednak — pan naprzykład nie chcesz także dojść do celu z moją pomocą!

— Ależ pani.....

— Tak jest, i to mnie wielce martwi, nieprawdaż Hanusiu? Moglibyśmy w przeciągu czterech tygodni wyprawić wesele, ale pan wolisz polować na ludzi....

— Tak, Bóg jednak moim świadkiem, jaką mi to boleść sprawia! Widzę, że Hanusia wszystko pani powiedziała, a zatem i ja muszę tę sprawę wyjaśnić.

— Ja wiem, zawołała Teresa, — że mężczyźni kierują się wyłącznie ambicyą i dumą, które ich w egoistów zamieniają!

— Wyrządzasz mi pani wielką tem krzywdę, ja nie jestem egoistą!

— Może być, ale czemu stoisz pan w drodze własnemu szczęściu? Czemu nie chcesz się żenić z Hanusią? Wróć pan z nami do Wiednia i pozostaw komu innemu schwytanie rozbójnika!

— Ach, wróć z nami! — błagała Hanusia. — Ja się tak bardzo będę starać o twoje szczęście!

— Nie mogę! — zawołał, — Nie mogę! Czemu mnie tak ustawicznie męczycie! Nie przeczuwacie wcale, jaką przykrość mi tem sprawiacie, na jaką walkę wewnętrzną mnie wystawiacie! Bo szczęście, jakie mi wskazujecie, jest tak ponętnem, że pragnąłbym je pochwycić i zatrzymać na wieki, ale honor mój zakazuje mi myśleć o niem! Obowiązkiem moim jest czuwać nad szczęściem i bezpieczeństwem moich bliźnich!

— A szczęście bliźnich polega na schwytaniu rozbójnika, — zauważyła Teresa lekceważąco.

— Tak, przynajmniej szczęście i spokój tej okolicy! Przyrzekłem moim przełożonym, że schwycę rozbójnika i muszę słowa dotrzymać, jeżeli nie chcę się stać niemożliwym w dalszej służbie!

— Jest to pana ostatnie słowo?

— Musi być ostatniem, i jeżeli Hanusia mnie kocha, to zdala odemnie będzie mnie też kochać i prosić Boga, abym jaknajprędzej znalazł tego bandytę!

— O tak, tak! zawołała młoda dziewczyna.

— Hanusia zostanie u mnie, — rzekła Teresa serdecznie, — bo kocham ją jak siostrę. Przyrzekam, że będę czuwać nad nią i starać się oddalać wszystkie od niej cierpienia i przykrości.

— Dziękuję ci, — zawołało dziewczę z płaczem. Nie będę już dłużej męczyć Franciszka, widzę, że on ma słuszność! On wie, jak postępować, i dotrzyma danego słowa, jak przystoi mężczyźnie. Ja będę cierpliwie czekać na ciebie, najdroższy, a gdy spełnisz zadanie, wtedy zawołaj mnie do siebie! Przyjdę natychmiast!

Wessely z rozrzewnieniem przycisnął do serca ukochaną.

— Musimy się pożegnać, — szepnęła Hanusia, gdy późnym odchodziła wieczorem. — jutro rano wyjeżdżamy!

— Już! Boże Wielki, już! Czy to być musi? — zawołał Franciszek przerażony.

— Niestety!

— Więc żegnam cię, najdroższa! — Niech cię Bóg w Swej świętej ma opiece, mój skarbie jedyny! — rzekł smutnie, a zwracając się do Teresy dodał: — słyszę właśnie że pani wyjeżdżasz jutro i zabierasz mi Hanusię! Będziesz rzeczywiście czuwać nad nią, abym ją z rąk twoich odebrał taką, jaką jest dzisiaj czystą i niewinną?

— Tak, przyrzekam to panu!

Hanusia wylewała potoki łez, ale nic jej to nie pomogło.

Nazajutrz rano wyjechały obiedwie, żegnane z największą serdecznością przez hrabiego i Fedorę. Hrabia dał im własną karetę i konie i postarał się o to, aby cała ich podróż odbyła się jaknajwygodniej.

Stanęły też szczęśliwie w domu — a cała ich podróż do Galicyi i przygody z wilkami i rozbójnikiem, zdawały im się snem — w tym pięknym, wytwornym i wesołym Wiedniu.

ROZDZIAŁ XLVII.

Ojciec i córka.

Gwałtownym wichrem zwiastowała wiosna swe przybycie.

Na szczytach gór zaczął śnieg tajeć, strumyki zamieniły się w rzeki, i spadały z głuchym hukiem z skał w dolinę.

W sercach ludzi nowe też zaczęły się budzić nadzieje — bo zima, to wielka nieprzyjaciółka górali, to uosobistnienie zimna, głodu i braku opału.

Horczanie nie pytali wprawdzie dotąd o pozwolenie zbierania drzewa, brali oni z lasów Henryka tyle, ile im się podobało, ale teraz lasy te nie były już jego własnością. Kupił je pewien książę Adam Starzycki, a że walczył zawsze z ciemięzcami swej nieszczęśliwej ojczyzny, przeto rząd zabrał wszystko na swoją własność, i podzielił lasy i ziemię pomiędzy tych urzędników, którzy zapomnieli wnet o tem, że są Polakami.

Najlepsze jednak części dawano Niemcom, Austryakom, a jednym z tych, którzy wielkie usługi oddawali rządowi, był baron Krausnek.

Krausnek otrzymał najpiękniejszą i największą część lasu księcia Adama, i zamek należący niegdyś do niego, pełen kosztowności i arcydzieł sztuki. Była to rzeczywiście książęca siedziba.

Z początku mieszkał on tam i polował w lasach, ale w końcu znudziło go to wszystko, a wziąwszy dymissyą udał się do Paryża, gdzie go przyjemniejsze oczekiwały zabawy i rozrywki. Posiadając ogromny majątek mógł tam używać wszystkiego do woli.

Dobra swoje i zamki zostawił naturalnie pod dobrą opieką, lasy zaś powierzył leśniczemu, Edmundowi Horn, na którego mógł liczyć zawsze i wszędzie. Nie dla tego, aby wiedział, że Horn jest wiernym i uczciwym, bynajmniej, był on nawet przekonanym, że go oszukuje, ale znał niezmierną surowość i bezwzględność, z jaką obchodził się

z biednymi wieśniakami i mógł być pewnym, że ani jedna gałązka nie zginie z jego lasu.

W całej okolicy nie było człowieka tak niesympatycznego, jak Horn.

Był to olbrzym prawdziwy, o czerwonej, nabrzmiałej twarzy, zdradzającej na pierwszy rzut oka wielkie zamiłowanie do kieliszka. Krótko przystrzyżone siwe włosy wcinały się trzema spiczastemi zębami w nizkie, zmarszczone czoło. Wyraz tej twarzy był wprost odpychający.

Horn miał lat czterdzieści pięć i od dwóch lat był wdowcem.

Horczanie oraz mieszkańcy innych wsi twierdzili, że żona jego nie umarła śmiercią naturalną, a chociaż nie oskarżono go wprost o morderstwo, to mówiono jednak ogólnie, że biedna umarła przedwcześnie wskutek jego całego obchodzenia się z nią. Bił ją i poniewierał nieustannie.

Ona tymczasem nigdy nie dawała mu powodu do niezadowolenia.

Była to wzorowa żona i gospodyni, i gdy mąż jej wracał późno w nocy do domu, wstawała zawsze, aby mu przygrzać kawy lub przygotować kolacyą.

Na nieszczęście swoje jednak bardzo była dobroczynną, i to równało się w oczach męża zbrodni.

— Rozrzucasz cały nasz dobytek żebrakom, — krzyczał nieraz, gdy widział, jak dawała głodnemu żebrakowi kawałek chleba lub szklankę mleka.

I gdy był w złym humorze, bił ją niemiłosiernie, a nieszczęśliwa kobieta chodziła całemi dniami z krwawemi na twarzy bliznami.

Z czasem postarał się Horn o to, że Krausnek wypędził swego rządzcę z zamku i jemu powierzył cały zarząd majątku.

Horn kradł, gdzie się dało, i oszukiwał swego pana na każdym kroku, nie pozwalał jednak nigdy, aby ktoś inny przywlaszczał sobie chociaż suchą gałązkę z lasu.

Bo las zawsze jeszcze był ulubionem jego miejscem pobytu. Znał on tam każde drzewo i umiał wynaleźć najmniejszy ślad kradzieży. Mścił się też okropnie na tych, którzy sobie trochę drzewa zabierali, i na tych, którzy chcieli zjeść czasem zająca lub sarnę.

Całemi nocami leżał on na czatach, pragnąc schwytać kłusowników, albo też biegał z fuzyą po lesie i ukazywał się zawsze tam, gdzie go się najmniej spodziewano.

Od dwóch lat, to jest od śmierci żony, którą zbił raz tak okropnie, że tego samego dnia umarła, nie wracał prawie wcale do domu.

Największą jego przyjemnością było, gdy mógł opowiadać, że zabił dotąd już siedmiu kłusowników, i że blizko sto ludzi, pomiędzy temi kobiety i dzieci, siedziało w więzieniu na mocy jego denuncyacyi.

A co zawinili ci ludzie?

Otóż zbierali chrust w lesie, przy którym sobie potem trochę zupy gotowali.

Horn strasznie był gwałtownym, i gdy się uniósł gniewem, zapominał o wszystkiem. Strzelał wtedy do ludzi, bił swoją czeladź, i cudem można było nazwać to, że dotąd tylko siedem zabił osób. Niejedna zaś służąca wolała jeszcze otrzymać od niego bicie, niż, jeżeli była ładną, znosić jego hołdy. To też każda, jako tako uczciwa dziewczyna bała go się, jak ognia!

Tak stały rzeczy, gdy się w domu wójta Kamczyka straszna odegrała scena.

Pewnego wiosennego poranku siedział Kamczyk przy oknie i czyścił swoją dubeltówkę.

Był on nadzwyczaj przywiązanym do tej dubeltówki, uważał ją za najmilszą swoją towarzyszkę, i nie rozłączał się z nią prawie nigdy.

Po wyczyszczeniu nasmarował ją oliwą, nabił, i wstał właśnie, aby powiesić na gwoździu, gdy w tejże chwili otworzyły się drzwi, i młoda, piękna, jasnowłosa dziewczyna wbiegła do izby. Z głośnym jękiem rzuciła się na kolana przed krzesłem ojca i zasłoniła twarz rękami.

Kamczyk zdumiony spojrzał na nią.

— To ty Kasio! — zawołał. — Na miłość Bozką, coś ty zrobiła? Czemu nie jesteś w służbie?

Młoda dziewczyna milczała.

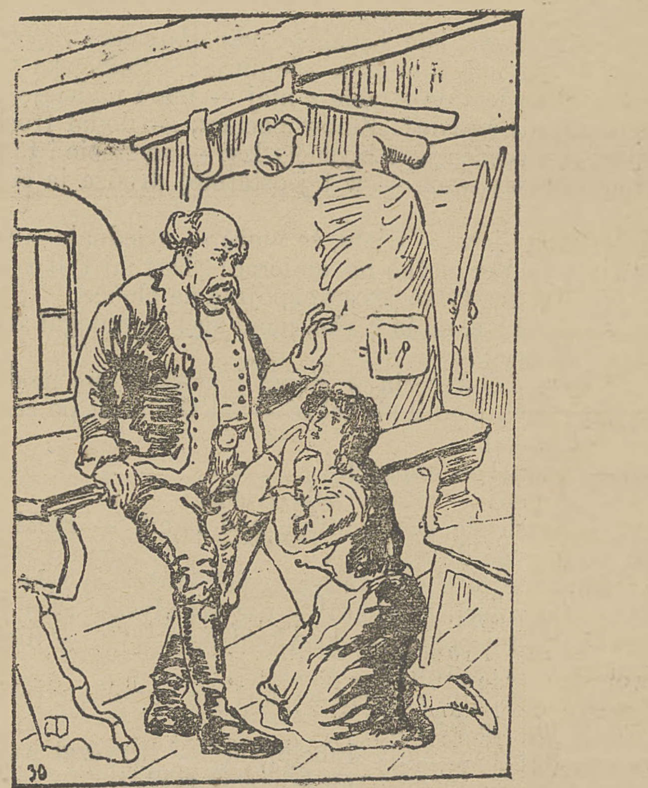
— Ah, domyślam się już, — mówił Kamczyk dalej, — pewnie cię leśniczy wyłajał, a może i wybił. Przestańże płakać i powiedz, co się stało! — Jeżeli ci się w zamku nie podoba, to poszukaj sobie innej służby! Młoda, ładna dziewczyna wszędzie znajdzie miejsce!

Ale Kasia nie przestawała płakać.

— Co się stało? — zawołał wójt zniecierpliwiony. — Nie płacz — wiesz przecież, że ci dobrym byłem ojcem — powiedz mi otwarcie, o co ci chodzi! Myślę przecież, że nie popełniłaś nic, za co byś się wstydzić miała!

I ująwszy ręce dziewczęcia, odsunął je i spojrzał w twarz swej córki.

—Boże Wielki! — krzyknął, — jak ty wyglądasz! Wcale nie jesteś do siebie podobną! Nie, to nie moja Kasia, to inna zupełnie dziewczyna! Wyglądasz tak, jak gdybyś całej nocy nie była spała!



Ojcze! — zawołała teraz Kazia obejmując jego nogi, — bij mnie, zabij natychmiast — ja nie jestem godną nazwania się twą córką

—Ojcze! — zawołała teraz Kasia obejmując jego nogi, — bij mnie, zabij natychmiast — ja nie jestem godną nazwania się twą córką!

Kamczyk cofnął się, gwałtowne drżenie przebiegło jego członki.

— Mam cię zabić — rzekł cichym, ochrypłym głosem, — a więc musiałaś popełnić coś takiego, co zasługuje na śmierć. Powiedz teraz, co to wszystko znaczy, nie męcz mnie dłużej!

— Ach, ja nie mogę! Bóg świadkiem, jak nieszczęśliwą jestem! Czemu nie mam matki! Ona by mnie rozumiała i płakałaby ze mną razem!

— Tak to prawda, Bóg matkę za prędko ci zabrał. No, ale podnieś głowę, spojrzyj mi w oczy i powiedz, co się stało. Od wczoraj przecież nie mogło się nic zmienić — wczoraj, gdy cię spotkałam w lesie, byłaś wesołą jak zawsze, a dziś płaczesz, jak gdybyś sobie oczy wypłakać chciała!

— Ach ojcze — ja — zgrzeszyłam.....

— Może ukradłaś co? W zamku tyle kosztowności....

— Nie, nie, ja nie jestem złodziejką!

— Więc co się stało? — krzyknął nagle Kamczyk, śmiertelnie przerażony. — Ach, Kasio, tylko nie to — tylko mi powiedz prędko, że jesteś czystą i niewinną — powiedz mi....

Na te słowa podniosła nieszczęśliwa dziewczyna ręce do góry i z przerażającym jękiem upadła twarzą na ziemię.

— Ojcze! — szeptała cichym, ledwie dosłyszalnym głosem, — ja — jestem — nędznicą — ja

Kamczyk zatoczył się, jak pijany. Przez chwilę stał nieprzytomny, potem zerwał się, schwycił długie warkocze dziewczyny i wlókł ją po izbie.

— Ach ty podła, — krzyczał, — ty nikczemna dziewczyno. — Shańbiłaś zmarłą matkę twoją i siebie, sprowadziłaś wstyd na moje siwe włosy! Musisz umrzeć! Piękn

rodzina, — ojciec rozbójnikiem, a córka... Musisz umrzeć!

Kasia nie broniła się wcale. Zdawało się, że już nie żyje.

— Musisz umrzeć, — powtarzał ojciec, — ja nie chcę, abyś ty żyła i hańbiła mój dom twoją obecnością. Ty byłaś jedyną moją pociechą i podporą starości, byłaś zawsze najlepszą i najładniejszą dziewczyną w całej wsi! Ja mogłem grzeszyć, ale ty powinnaś była zostać czystą, bez skazy, a tymczasem..... Wstań teraz, — krzyknął nagle, uderzając ją pięścią w plecy.

Kasia podniosła się z trudnością i stanęła naprzeciw ojca.

— Wiem, — szepnęła, — że mnie zabijesz! Mówiłam to sobie, idąc tu dotąd — i proszę jedynie o śmierć prędką!

— Zapewne, nie będziesz potrzebowała męczyć się długo, — odrzekł Kamczyk zdejmując dubeltówkę z gwoździa. — Raz jeszcze strzelę z niej — mam nadzieję, że mi ręka drżeć nie będzie! Zmów pacierz, — dodał trochę łagodniej, a w oczach jego błysnęły łzy, — za siebie i za mnie! Bo nie umrzesz sama — w tej ostatniej drodze ja ci towarzyszyć będę!

— Ach ojcze — wiem, że umrę — a jednak — tak mi żal świata — tak ciężko mi umierać! Daj mi tylko jeszcze trzy minuty, raz tylko jeszcze spojrzę na słońce.

— Módl się, moja córko, módl się! — nalegał stary.

— Zaraz.....

I usta dziewczęcia w cichej poruszały się modlitwie.

Kamczyk modlił się także — od wielu lat po raz pierwszy — i płakał.

— Amen! — szepnął.

— Amen! — powtórzyła Kasia.

— Niech się Bóg zmiłuje nad nami, — rzekł Kamczyk, podnosząc dubeltówkę.

Ale w tejże chwili przytrzymał ktoś jego rękę.

— Co robicie, wójcie! — dał się słyszeć głos Leona.

— Daj mi pokój! — krzyknął Kamczyk, — nie wtrącaj się w cudze sprawy!

Leon szybkim ruchem wydarł mu strzelbę z ręki i odskoczył z nią do drzwi.

— Oddaj mi moją dubeltówkę, — krzyczał wójt biegnąc za nim, — inaczej zabiję ciebie także!

— Spróbujcie! — odrzekł Leon. — Ja wam tej broni nie dam! Czyście wy zmysły stracili, aby zabijać własną córkę?

— Córkę? Ja nie mam córki! To nędznica bez czci i wiary!

I popchnął Kasię tak silnie, że upadła na ziemię.

— Wiecie, że bardzo was lubię, — zwrócił się Leon oburzony do Kamczyka, — i że uważałem Kasię zawsze jako siostrę, dla tego też nie pozwolę, abyście się nad nią znęcali. Jeżeli Kasia zawiniła, to niech Bóg ją sądzi, ojciec jednak nie ma prawa zabijania dziecka.

— Co ty mi chcesz nauki dawać! — krzyknął Kamczyk rozwścieklony. — Wziąłeś mi strzelbę, bo jesteś mocniejszy, ale ja mam jeszcze moje dwie ręce i zobaczysz, jak ukarzę tę wyrodną — tę podłą dziewczynę!

I znów chciał się rzucić na Kasię, aby ją udusić.

Okropna teraz rozpoczęła się walka. Obydwaj mężczyźni silni, walczyli z taką zawziętością, jak gdyby byli najzacietszymi wrogami, podczas kiedy jeszcze przed chwilą serdeczna łączyła ich przyjaźń.

Kasia wstała tymczasem, i starała się rozłączyć walczących.

— Ojcze! — wołała, — na miłość Bozką, ojcze, puść go! Leonie, odejdź — ach Boże, oni się nawzajem pozabijają, a wszystko to moja wina! O, jaka ja nieszczęśliwa!

Walka trwała dalej. Leon był wprawdzie o wiele silniejszym od swego przeciwnika, Kamczyk natomiast posiadał więcej zręczności i wytrwałości, i umiał wyzyskać wszelką korzystną sposobność.

Objął on obydwiema rękami szyję Leona i uścisnął ją tak mocno, że młody olbrzym oddychać nie mógł. Ale po chwili, schylił się Leon, uchwycił prawą nogę wójta i rzucił się na niego całym ciężarem ciała tak, że jeden i drugi upadli na ziemię.

— O Boże! Mordują się! — krzyczała Kasia. — Ratunku! ratunku!

— Co to znaczy? — dał się nagle słyszeć we drzwiach jakiś głos obcy, i wysoki wysmukły mężczyzna stanął na progu.

Słowa te niezmierne na walczących wywarły wrażenie. Obydwaj przeciwnicy opuścili ręce, i najwyższy był też już czas, bo jeszcze chwila, a Leon byłby może leżał teraz martwy.

Kamczyk pierwszy zerwał się i spojrzał na wchodzącego.

— Kapitan! — krzyknął.

— Kapitan! — powtórzył Leon.

— *Tak, wasz kapitan, — rzekł Henryk marszcząc gniewnie czoło. — Co się tu dzieje?* Czy już tak daleko zaszło, że moi ludzie podwładni zabijają się nawzajem? I to jeszcze tacy, którzy dotąd żyli w przyjaźni! Ależ to wstyd wam i hańba! Co się właściwie stało? Czy Leon, który ma tu żyć jak w więzieniu, popełnił coś złego? Biada ci Leonie, jeżeli się dowiem, że nie zachowywałeś się tak, jak powinieneś. Raz wybaczyłem, ale drugim razem już nie wybaczę!

— Leon jest niewinny, — odrzekł wójt i podał mu rękę.

Młody olbrzym uścisnął ją serdecznie.

— Więc czemu chciał jeden drugiego zabić? — zapytał Henryk.

— Obydwaj chcieliśmy wypełnić nasz obowiązek, — zaczął Kamczyk, ale przerwał mu Leon.

— Zbrodnią chciał popełnić, — zawołał, — a ja nie pozwoliłem mu na to. Nie mam tyle rozumu, jak on, ale to wiem, że ojciec nie powinien zabijać własnego dziecka!

— Własnego dziecka? — powtórzył Henryk zdumiony, i teraz dopiero spostrzegł Kasię, stojącą w najciemniejszym kącie izby. — Więc chcieliście zabić waszą córkę? Mylisz się Leonie, Kamczyk nie byłby wcale zdolnym do popełnienia podobnej zbrodni!

— A jednak tak było, — odrzekł wójt ponuro. — Leon nie kłamie! Przyszedł on tu właśnie, gdy podnosiłem flintę — zabrał mi ją. Tam stoi moja córka, i przysięgam, że wolałbym ją w tej chwili widzieć umarłą, niż żywą!

— Czyś oszalał! — krzyknął Henryk. — Własne dziecko chciałeś zabić? Sądziłem dotychczas, że jesteś człowiekiem, mającym trochę serca i rozumu, widzę jednak, że jesteś takim, jak inni Horczanie, to jest nieróżniącym się prawie od zwierzęcia!

Kamczyk roześmiał się gorzko.

— Gdyby kapitan wiedział, co się stało, — rzekł, — to mówiłby inaczej!

— Więc powiedz mi, o co chodzi?

— Powiadałem ci raz kapitanie, że mam jedyne dziecko, córkę, dobrą i uczciwą — i że to jedyna moja pociecha. Dziś jednak złorzeczę Bogu za to, że nie zabrał mi jej dawniej, gdy była małą i czystą..... Nie potrzebowałbym stać tu teraz zawstydzony, i nie potrzebowałbym się przyznawać, że jestem ojcem upadłej dziewczyny.....

— Wójcie! to być nie może, — zawołał Henryk.

— A jednak tak jest!

I pobiegłszy do córki, porwał jej rękę i pociągnął na środek izby.

— O, patrzcie! — krzyknął, — jaka ona piękna, nikt by nie myślał, jaka podła w niej dusza! I to moja córka! To jest.....

— Milcz, — przerwał Henryk, zbliżając się do Kasi biorąc łagodnie jej rękę. — Córka twoja mogła zgrzeszyć, ale to cię nie upoważnia do znieważania jej w naszej obecności!

Oczy Leona błysnęły radością. Skoro jego kapitan ukochany zajął się tą sprawą, to Kasi nie groziło już żadne niebezpieczeństwo i wszystko do dawnego wracało porządku.

— Kamczyku, — zaczął teraz Henryk spokojnie, — znasz mnie jako twego przyjaciela, wiesz, że zawsze i wszędzie możesz liczyć na mnie, i że nie uczyniłbym nic, co by tobie szkodzić mogło!

— Ach kapitanie, — odrzekł wójt, — ja wiem, że nikt mi tak dobrze nie życzy jak mój kapitan, dlatego też nikomu nie ufam tak, jak tobie!

(Ciąg dalszy nastąpi).